

odgłosy



Nr 16 (320)
19. IV. 1964 R.
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK

ROK VII

W numerze: Rzeź gigantów • Opuszczajcie ojczyznę! • Daleko od Zdroju • Jak „robić filmy?” • Wokół „Cjankall” • Felietony • Recenzje • Polonica

Leon Gomolicki TUSCULANUM

(Fragment nowej powieści pt. „Kiermasz“)

1
Jest tu nas — jak utrzymuje Wanda — sześcioro. Ja wyczuwam obecność jeszcze przynajmniej kilku innych (osób), ale uznaję zbawienne prawo rzeczy i sytuacji prostych. Zresztą i sześcioro wystarczy, aby skomplikować życie.

Ostatecznie okupacja skończyła się już dawno, nad ziemią świeci słońce, chwasty, pleń się przy mojej werandzie żywa, twarda pajęczyna. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem ten dom, podobny z daleka do pudełka od zapalek, a z bliska do spiądnianego grobowca, i cały krąg spustoszenia, zapuszczenia, jakie go otacza — wydał mi się tusculanum mego życia. Tak pomyślałem wtedy, powiedziałem na głos i tak już zostało w naszym leksykonie. A właściwie nie tylko w naszym — nie wiem jak to się rozpowszechniło i zatoczyło aż tak dalekie kregi, ale niedawno dostąłem z gminy jakieś pismo (w sprawie rejestracji Brutusa czy innej) zaadresowane: obywatel (tu moje imię, nazwisko), Tulany. Tulany! Poczułem trzęsienie historii: tak powstają jej zagadkowe imiona. Po jakimś czasie ktoś zastanowił się nad prapolskim pochodzeniem tej nazwy.

Spojrzałem z zewnątrz, oczami cudzymi, oczami tego, który w moim tusculanum usłyszał Tulany — i zobaczyłem kawałek piaszczystego pagórka, na którym wojna wypaliła swój szpetny ślad. Nie nie zrobiliśmy dotąd, aby tę szpetotę usunąć. Jeśli wprawdzie wejściowe drzwi i oszklone były jak okna — była to po prostu najprymitywniejsza, ordynarna konieczność.

2
Dom ma dwa wejścia: od strony drogi (dawnej ulicy) i z tyłu, od podwórza. To drugie prowadzi przez kuchnię, pierwsze — przez oszkloną werandę, tzw. latarnię, którą zamieniłem na swoją pracownię. Ścisłej — nie tyle pracowni, ile celę, to tu pracuję i śpię, jedzenie mi tu również przynoszą.

Stół zwykły, prostokątny z jedną jedyną płytką szufladą — w terminologii Wandy: biurko Kuchenne krzesło, trochę rozhuślane i skrzypliwe. W kącie, wprost na podłodze — sieniek przykryty pledem. Na nim syplam i odpoczywam z książką po obiedzie. Oszklone ściany latarni mają wąskie parapety, na nich dochodzą pomidory i stoją doniczki z kaktusami. Mamy elektryczność — jedyna nasza inwestycja, ale ja prawie nie korzystam, ponieważ latarnia nie ma firanek. Pracuję do zmierzchu i kładę się, aby wstać o świcie.

To plan sytuacyjny. A oto mój rozkład zajęć. Dwa razy w tygodniu rano, wyprawa do miasteczka — na pocztę i po zakupy (najczęściej lekarstwa). Biorę rower. Jeśli pada, wkładam nieprzemakalny płaszcz. Tam i z powrotem — z dziesięć kilometrów. To moje obciążenie. Po powrocie jem obiad i pracuję. W inne dni pracuję od świtu. Oczywiście zima wszystko zmienia. Latarnię się zamyka, tarasuje stoma i starymi kocami. Przenoszę się do małego pokoju obok, w którym się duszę i źle syplam. Reszta pozostaje bez zmian.

3
Sukces!
Tu mogłaby dojść do głosu Wanda. Jest właściwie antreprenierem. Moje pomysły stanowią dla niej przede wszystkim towar — muszą pracować, aby miała co sprzedać. Złatwia więc wszystkie sprawy, pertraktuje, urządza wystawy, przywozi umowy do podpisu, wyklóca się o terminy zaliczek, pilnuje, abym wykonywał na czas, wydebta stypendia, śledzi, żeby w prasie stale coś się ukazywało, jakieś wzmianki, zdjęcia, zapowiedzi. Rola niewdzięczna i podziwiam jej wytrwałość, umiejętność. Sam byłbym bezradny.

Kiedy raz wysłała mnie do Warszawy, do wydawnictwa, wcale nie zdobyłem się na tę trudną dla mnie rozmowę. Zaszłyłem się w uniwersyteckiej bibliotece i czytałem „Alceste” Eurypidesa. Postanowiłem, że powiem Wandzie: nie zastałem redaktora. Ale gdy wracałem o zmierzchu do domu, w polu spotkałem Joannę. Zatrzymała rower, na którym jechała, i stojąc jedną nogą na ziemi:

— Oj! Jak dobrze, że pan już, bo pan Andrzej umiera.

— Znowu umiera — powiedziałem. — Tym razem na co?

— Okazało się — na raka skóry. W domu był popłoch i szczęśliwie nie musiałem dawać sprawozdania z wyjazdu.

4
Po pierwszym powodzeniu zauważyłem też cechy sukcesu, które powinny odstraszać i na pewno by odstraszały, gdyby nie ujawniały się za późno.

Obrachunki XX-lecia

SZKOLNICTWO

Z perspektywy XX-lecia powszechności nauczania liczby te wydawać się mogą nieprawdopodobne. A jednak było właśnie tak: 5,5 mln obywateli nie potrafiło ni czytać ni pisać. W roku 1937/38 dla około 1 mln dzieci w wieku szkolnym zabrakło miejsc w szkołach podstawowych, a spośród tych, które pobierały naukę, zaledwie co czwarte kończyło siedem klas.

Taki obraz przedwrześniowej Polski utrwaliły statystyki.

W woj. łódzkim sytuacja niewiele była lepsza: 320 tys. analfabetów, a więc prawie 24 proc. mieszkańców. Szkoł wprawdzie w wykazach figurowało wiele, jakie to jednak były szkoły! Na każdą o pełnym, siedmioklasowym programie nauczania przypadało prawie 3,5 niepełnych. Ponad 40 proc. uczniów w woj. łódzkim musiało opuszczać mury swej szkoły bez świadectwa ukończenia siedmiu klas. Aż wierzyć się nie chce, ale w roku szkolnym 1937/38 na wsi łódzkiej 148 tys. uczniów w zasadzie kończyło naukę po IV klasach. Czy trzeba dodawać, że w praktyce uniemożliwiono to im dostęp do szkół średnich?

Obraz szkolnictwa w latach międzywojennych byłby jednak niepełny, gdybyśmy nie powiedzieli jeszcze, że na jedną izbę lekcyjną w województwie przypadało ponad... 73 dzieci.

Na tym, szkieletowo tylko zafosowanym tle, tym bardziej kontrastują liczby współczesności, i kraju, i województwa.

O 2.316 tys. uczniów w Polsce więcej niż w ostatnim, objętym statystyką, roku przed wojną, w tym o 1.166 tys. w szkolnictwie ogólnokształcącym i 1.150 tys. — w zawodowym. 99,5 proc. dzieci objętych powszechnością nauczania (około 22 tys. nie uczęszcza do szkół z przyczyn uzasadnionych, np. orzeczeniami lekarskimi), możliwość kończenia siedmioklasówki ma praktycznie cała młodzież.

Nie przeto dziwnego, że w roku bieżącym liczba absolwentów 7-klasowych szkół podstawowych wyniesie ponad 622 tys., a więc będzie wyższa niż w r. 1937/38 pięciokrotnie.

W woj. łódzkim w ub. r. szkoły podstawowe ukończyło ponad 31 tys. Z uczęszczaniem do wyższych klas młodzież nie miała kłopotu — z 1.604 szkół podstawowych, 1.206 realizuje pełny program. Jeśli więc w danej wsi nie ma szkoły z 7 klasami, do najbliższej niedaleko.

Wprawdzie z obecnej sytuacji ciągle jeszcze nie jesteśmy zadowoleni, dzięki jednak wysokim nakładom finansowym państwa i po mocy społeczeństwa, w rezultacie których budowa nowych szkół przybrała niespotykany dotychczas rozmach, osiągnięliśmy wskaźnik uczniów na jedną izbę — 39,2. W porównaniu z wymienionym powyżej, postęp oczywisty.

Jeszcze jedna liczba ma tutaj

Dalszy ciąg na str. 3

Dalszy ciąg na str. 10

odgłosu W świecie

TRAGICZNY DRAMAT JAKI ROZEGRAŁ SIĘ W AFRYKAŃSKIM BUSZU WSTRZĄSNĄŁ CAŁYM ŚWIATEM. KRWAWE STARCIA POMIĘDZY ROLNICZYM PLEMIEŃMI BAHUTU A PASTERSKIM LUDZIEM WATUTSI ZNAJDUJĄ SWOJE WYJAŚNIENIE W POLITYCE BELGIJSKICH KOLONIZATORÓW.

TRZEŚĆ GIGANTÓW

Ruanda-Urundi niegdyś jedno, dziś dwa siodłane państwa Burundi i Rwanda. Od jak dawna mieszkał tutaj lud Bahutu, to chyba wie jeden Bóg, który ich tu osadził. Watutsi przyszli z północy, z Wyżyny Etiopskiej. Ludzie ich rasy zamieszkiwali basen Nilu i wybrzeża aż po góry Maroka. Skóra Watutsi miała odcień brązu była inna niż skóra Bahutu. Wysocy, szczupli, o rociąglych twarzach Watutsi to ponoć potomkowie Chama syna Noego. Szli na południe w poszukiwaniu pastwisk dla swych coraz to liczniejszych stad bydła, o potężnych długich rogach. Będąc pasterzami Watutsi przywykli rozkazywać zwierzętom, teraz lud Bahutu stał się im podległy. Bahutu począł wiać tych wysokich ludzi, którym bogowie nakazali opuścić swe siedziby i zejść na południe. Przybyłszy z północy przynieśli z sobą wyższą kulturę, niż ta jaka posiadali Bahutu, ale w tej cywilizacji brakowało pojęcia pracy.

Królem Bahutu był lew ale nie ten, który żył w buszu. Ich król-lew mieszkał w grocie. Kiedyś, a było to bardzo dawno, przeszło 1500 lat temu, jeden odważny Watutsi zabił króla-lewa i sam zajął jego miejsce. Od tej chwili więcej i więcej rozpoczyna się historia królewskiej dynastii.

Watutsi nie lubili pracy, ich każdy dzień miał charakter leniwej wypoczynku. Za nich pracowali poddani Bahutu.

Mijały wieki. W 1884 roku na konferencji berlińskiej kraj ten przypadł Niemcom, a po pierwszej wojnie światowej Belgom. Zarówno Niemcy jak i Belgowie pozostawili wprawdzie królów w Ruandzie i Urundi, w stolicach Kigali i Kijigo, ale królów tych pozbawili władzy. Belgowie założyli w Busumbura własną stolicę, skąd administrowali

jak i Belgowie dawali rozkazy Watutsi, ci z kolei rozkazywali Bahutu, swoim sługom i poddanym. Niemcy i Belgowie posługiwali się Watutsi, ponieważ Watutsi byli niewątpliwie inteligentniejsi i zdolniejsi niż Bahutu. Powoli Watutsi zaczęli zajmować stanowiska w administracji państwowej. Autorytet ich zaczął wzrastać.

Skończyła się druga wojna światowa. Afryka powoli burdziła się do życia. Watutsi, pasterze-arystokraci, których stopień dojrzałości politycznej był niewątpliwie wyższy zaczęli niepodległości. Wówczas Belgowie uczynili Watutsi, aby ukroczyć władzę Watutsi. Uderzenie przyszło poprzez Bahutu. Jak wiadomo, Bahutu nie zajmowali żadnego stanowiska, wszystkie były dostępne tylko dla Watutsi. Wykształcony w szkołach misyjnych Bahutu myślał o tym, aby ten porządek zmienić. Dokonał tego bo poparli ich Belgowie. Belgowie przypomnieli Bahutu co to jest obowiązek względem własnej ojczyzny i że najędźców trzeba wyrzucić. Te lekcje historii Bahutu wprowadzili w czyn. Zaczęli mordować Watutsi!

Rok 1959. Wybory w Ruandzie wygrali Bahutu. Teraz przestali się już bać swych

pozostali w Ruanda zapłacili krowy rachunek.

Bahutu nie zna indywidualnej odpowiedzialności, dla niego istnieje tylko odpowiedzialność plemienna. Wszyscy planują za jednego. W 1963 roku Bahutu mordowali bez wyjątku wszystkich Watutsi, mężczyzn i niewinnych, zabijali naczyniami, nożem, włócznią. Liczba pomordowanych jest bardzo wielka, jak wielka jedynak, tego nikt nie zliczył. Nikt też dokładnie nie zna prawdy. Może tylko drzewa mogłyby ją opowiedzieć.

Inna jest prawda Ruandy, a inna Burundi, dzieli je rzeka Akanyaru, głęboka dziś tak jak gdyby była oceanem. Ruanda jest republiką, Burundi królestwem, gdzie rządzi ci sami władcy, którzy tak niedawno jeszcze sprawowali władzę w Ruanda. Burundi i Ruanda to płaskowyż porośnięty sawanną. Na pagórkach stoją pojedyncze chaty, a w każdej z nich mieszka jedna tylko rodzina, która sama dla siebie stanowi wspólnotę. Chaty mają kształt okrągły, a dachy ich pokryte są trawą. Ogrodzenie dookoła chaty jest zaręczem czymś w rodzaju fortyfikacji, zbudowanej z euforbii. Pagórki leżą z dala od siebie, rozrzucone na pustej przestrzeni. Malownicze doliny w porze deszczowej są nie do przebycia. Na tych pagórkach rozegrała się tragedia Watutsi.

Rząd Ruandy czynił wszystko, aby zatuszować prawdę, a przynajmniej ją umniejszyć. Dziś 80 tysięcy Watutsi z Ugandy, 40 tysięcy - z Burundi, 40 tysięcy - z Konga i wielu jeszcze Watutsi mieszkających w Tanganice nie wie nic o sprawach jakie miały tu miejsce. Murzyni mówią wiele, lubia przesady, ich język jest barwny a w opowiadaniach murzyńskich jest wiele fantazji. Dlatego kłamswo jest w wielu wypadkach niezamierzone i wynika z charakteru opowiadania, z przesady. Nie widać różnicy między tysiącem a dziesięcioma tysiącami. Nikt więc nie poda dokładnej liczby zabitych Watutsi. Leży ona gdzieś między dwoma a dziesięcioma tysiącami, zależnie od tego, kto ją podaje.

Mówi się o Watutsi, którzy padli z rąk Bahutu. Ale są i ci, którzy sami sobie zadali śmierć. I to jest rachunek oddzielny. Chociaż Watutsi są katolikami w duszy ich pojęcie samobójstwa blawo jako nieodwołalne następstwo klęski: „ten kto traci, musi stracić wszystko” - głosi ich kodeks moralny. Dlatego rodziny zamykały się w chatach, a ojcowie podpalali je własnoręcznie, bo klęska musiała się spełnić do końca.

Powstanie Bahutu było powstaniem uciśnionych względem ciemniejących, ale nie miało charakteru powstania głodnych przeciwko sytom. Pogrzeb Watutsi był bardzo nieczysty. W żadnym wypadku nie byli to kapitaliści. Ich król, najbogatszy wśród Watutsi zajmował się wyrobem masła. Bogaci posiadali liczne stada bydła, ale z tej hodowli nie mieli wielkich korzyści. Nie handlowali bydłem, nie zabijali go, nie spożywali mięsa, bo mięsa nie lubili. Bahutu również nie jedzą mięsa tylko maniók i jarzyny. Watutsi i Bahutu lubią mleko i krew, którą piją wprost z przeciętej żyły zwierzęcia. Bahutu trudnią się uprawą roli, ale tej ziemi uprawiają tyle tylko ile trzeba na zapłacenie podatków. Resztę czasu, podobnie jak i Watutsi, spędzają leżąc w cieniu drzew i popijając owo.

Watutsi potrzebowali coraz to więcej ziemi pod pastwiska na których pasły się ich coraz to liczniejsze stada. Osiągnęli one liczbę 1.400.000 sztuk. Bahutu znów potrzebowali coraz to więcej ziemi pod uprawę. Między potrzebą ziem Bahutu a potrzebą pastwisk Watutsi zaistniał dodatkowy konflikt, który Bahutu wykorzystali dokonując przewrotu. Teraz Bahutu mają ziemię i mają więcej korzyści, bo nie lubią pracować. 2 lata temu Ruanda produkowała 35 tys. ton kawy dziś produkuje tylko 20 tysięcy ton. Dawniej zarabiała 500 milionów franków belgijskich, dziś zarabia tylko 300 milionów. Jak widać łatwiej było zrobić rewoltę, niż nauczyć ludzi pracować.

Pozostałe jeszcze do wyjaśnienia sprawa kontrofensyw

Watutsi, o której donosiła prasa. Alaki Watutsi z Burundi, to raczej wypadki patroli, bez większego znaczenia. Oto jak wyglądał jeden taki wypadek. Patrol wyszedł z Burundi, liczył 500 ludzi. W odległości 26 km od stolicy Ruandy zabito 4 żołnierzy Bahutu. Przeciw napastnikom wysłany został oddział wojska. Ile liczył ludzi tego nie wiadomo, całe wojsko Ruandy to 1200 żołnierzy. Oddział miał broń belgijską i Belg nim dowodził.

W grudniu 1963 roku Watutsi z Burundi niepodległość zjawili się w bliskości stolicy Ruandy. Wiedzy szal strachu ogarnął ludź Bahutu. Zaczęli mordować. Powodowcami strachem mordowali z pacją, zadając swym ofiarom niezliczoną ilość śmiertelnych ciosów. W Afryce motywem działania jest często strach, bo Afryka jest kontynentem strachu, tak jak Azja jest kontynentem głodu. W pojęciu Murzynów wszystko, a więc i przedmioty, są mieszkaniem duchów złych. Nawet ci Murzyni, którzy przy jeli chrześcijaństwo nie wyzbyli się swoich wierzeń. Każdy człowiek w pojęciu Murzyna, posiada w sobie tajemniczą siłę, potężniejszą niż siła mięśni. Biali człowiek przy pomocy tej siły ujarzma siły innych. Także wysocy i tajemniczy Watutsi mieli silną mocniejszą niż siła Bahutu, którą ujarzmił.

Warto przypomnieć, że podczas rewolucji w Kongu znajdowano rysunki znaków magicznych z podpisami: „wreszcie i my mamy taką siłę, jakiej nie mają biali. Biali nie mają już siły, która by nas różniła. Biali stali się talami, jak my, Murzyni, a my - takimi jak oni, biali”. Bahutu odkryli siłę, która ujarzmiła siłę Watutsi. Bahutu nie mogli dopuścić do tego aby Watutsi swoją siłę odzyskali.

Taką jest prawda. Ma smak mitologicznej opowieści. Mały skrawek czarnego lasu zamknięty górami, wśród których dymia wulkany, wielec Watutsi podobni biblijnym pasterzom, i mali Bahutu, którzy tych gigantów jak kozłów ofiarnych pobili.

Oprac. MARIA TYMOWSKA



PRZEWAGA NAUKI RADZIECKIEJ

Pod tym tytułem w dniu 4.III. br. New York Times opublikował artykuł oparty o sprawozdanie przedłożone poprzedniego dnia Kongresowi amerykańskiemu przez naukowców z Komisji do Spraw Energii Jądrowej Kongresu. Oto w skrócie co pisze autor artykułu, J. W. Finney.

Komisja w swym sprawozdaniu wyraziła zaniepokojenie faktem, że w ZSRR prowadzone są prace znacznie szerzej i głębiej obejmujące zagadnienia wykorzy-

stania energii jądrowej jako źródła energii, poprzez proces kontrolowanej reakcji jądrowej. Jakkolwiek w chwili obecnej wydaje się, że Amerykanie posiadają gruntowniejszą znajomość reakcji pozwalających wykorzystywać energię bomby wodorowej do celów pokojowych, to jednak wydaje się, iż przewożenie i w tej dziedzinie może być lada moment utracone. Nauka radziecka rozwija się szybciej i szerzej a co najważniejsze posiada opar-

cie w większym napływie młodych naukowców niż w USA. Komisja porównała programy badań w obu krajach, opierając się na raportach grupy naukowców amerykańskich; którzy właśnie niedawno powrócili z wizyty w trzech laboratoriach radzieckich, w których pracuje się nad tymi zagadnieniami: w Moskwie, Leningradzie i w Suchumi. Naukowcy stwierdzili nadzwyczajny rozwój badań radzieckich od 1960 roku, roku ostatniego pobytu w tych

laboratoriach. Określił on, iż na przestrzeni trzech lat nakłady radzieckie wzrosły co najmniej o 50%. Poza stroną ekonomiczną nadzwyczajną rolę ma „napływ utalentowanych, młodych naukowców, nadających impetującą żywotności radzieckiemu programowi”. Jakkolwiek postęp obu krajów w tej dziedzinie jest podobny (żaden nie rozwiązał problemu kontroli spontanicznej reakcji jądrowej) ostateczne wrażenie jest takie, iż rozmiany, jakości i szybkości realizacji programu radzieckiego, potencjalnie zwycięstwo daje Rosjanom.

Dr Rosenbluth z General Dybamic Corp. oświadczył,

iż najbardziej był wstrząśnięty ogromem i znaczeniem prac teoretycznych prowadzonych przez młodych uczonych radzieckich, którzy są „elitą śmietanki naukowej”. „Szczególnie mówiąc, stwierdziłem, że konkurencja w tej dziedzinie robi na mnie deprymujące wrażenie”.

Dr Philips ze słynnego ośrodka atomowego w Los Alamos przyznał, że radzieckie doświadczenia z „działaniami plazmowymi” wyprzedziły go z równowagi. Działka te strzelają plazmą do tzw. „butli magnetycznych”, w których zamknięta plazma jest poddawana ogrzewaniu do ogromnych temperatur. Żadne z widzi*

nych przez niego w USA doświadczeń nie może się równać skąpa doświadczeniami radzieckimi.

Uczelnicy amerykańscy podkreślali głównie, że w odróżnieniu od dynamicznie rozwijającego się programu badań w ZSRR, program w Stanach Zjednoczonych na skutek zwężających się ograniczeń finansowych pozostaje niezmienny od lat. Sześć komisji dr McDaniel w konkluzji szacuje, że w omawianej dziedzinie badań 35% prac jest prowadzone w ZSRR, 25% w USA a pozostałe 40% w innych krajach.

Opracował F. R.

Unter'n Linden, Unter'n Linden
gehn spazieren Mädchen gern —

WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI

Opuszczajcie! OJCZYZNĘ!

śpiewało się kiedyś w Berlinie o popularnym tamtejszym „deptańcu”, promienadzie ulubionym od czasów, gdy snuły się tędy parokronki na gumach i powozy pruskie Landgrafov, szerokej, zielonej Alei pod Lipami.

Piosenka została, ale mało kto zapuszcza się teraz wieczorem w mroczną pustkę Alei. Z najpiękniejszych gmachów Berlina, jakże kiedyś skądniały się przy tej centralnej arterii miasta, zostało niewiele ponad mroczny, groźny Uniwersytet Humboldta, odbudowaną z niczego — ściśle według dawnego planu — arcybogata operę, Mauzoleum Ofiar Faszyzmu i tuż przy Brandenburskiej Bramie nowy, okazały gmach radzieckiej ambasady. Reszta to puste fasady wypalonych budowli, płace uprzętnięte z gruzów wiatr tędy tylko hula, aż do oświetlonego reklamami rogu Friedrichstrasse trudno spostrzec przechodnia. W perspektywie ulicy z bardzo daleka widać znany z tysięcy reprodukcji profil Bramy z pięćdziesiąt metrów przed murem plot z kozłów hiszpańskich i młodzi żołnierze na posterunkach. Po okazaniu przez nas paszportów wartownik podnosi słuchawkę polowego telefonu i dzwoni na wartownię znajdującą się w lewym skrzydle Bramy. Dopiero na wyraźny sygnał stamtąd rozsuwa koźły i odprowadza nas przez zaśmieconą pustkę placu.

Uzbrojeni w ciężkie lornety wstępujemy na małą estradkę — tuż przed nami biegnie niegroźny z bliska, lekki, słaby murek z szarej cegły. Ma nie więcej niż dwa metry wysokości, ale reporterzy z tamtej strony fotografują go z pozycji leżącej, żeby wydał się niebotycznie kamienną twierdzą. Najmniejszy drobniak ma tutaj wyrażne znaczenie i jest nosicielem nieblahych treści politycznych. Plac, który po stronie demokratycznej nazywa się po prostu: Paryski, zaraz za murem nosi już imię Bismarcka, a tabliczkę z tym imieniem umieszczono tak, że jest doskonale widoczna z estradki.

Przedłużenie Alei po tamtej stronie zachowało nazwę Alei Zwycięstwa, nadana jej przez Hitlera w czasie wojny, ku upamiętnieniu bodajże zwycięskiej kampanii francuskiej. Na odbudowanym przez Amerykanów gmachu Parlamentu, tak tego samego Reichstagu, którego pożar błysnął kiedyś nad Europą jak ostatnie ostrzeżenie — obok flagi Federacji powiewa także amerykańska. Za nami natomiast po lewej ręce rozciąga się szeroka, biała od śniegu płaszczyna miejsc, w którym kiedyś stała Kancelaria Rzeszy. Nie będzie już stała, nie stanie się nigdy świątynią hitlerowskich pogrobowców, pobuduje się tam jasne mieszkalne domy, poprowadzi ruchliwe ulice.

Proszę pokręcić pierścieniem lornety: ten prostokąt otoczony drutami w głębi zachodniej strefy, przy Alei nie widać czyjego zwycięstwa, to Pomnik Bohaterów Armii Czerwonej, Enklawa w enklawie. Wydzielony z miasta, zamknięty, ocutowany, Pełnia tam wartę honorową żoł-

nierze radziecy, doprowadzani z tej strony — tylko oni wstępują do środka przelotką. Opuszczamy lornety z poczuciem ogromnego wstydu, który potęguje się jeszcze na widok tablic przymocowanych prawie bezpośrednio do muru od tamtej strony, a przeznaczonych dla obywateli Berlina demokratycznego. „Każdy ma prawo opuścić własną ojczyznę” — kuszą tablice, cytując wyrwane z kontekstu zdanie z Karty ONZ. Opuszczajcie ojczyznę, chodźcie na Siegesallee, na Bismarckplatz na łube smaczki niezapomnianych wojennych przygód. Urządzimy wam niebawem wielkie posiedzenie Reichstagu, w tych samych salach, na tych samych ławach, pod nosem cierpliwych bolszewików. Będziecie śpiewać stare Marschenlieder i zadacie sprawiedliwych granic nad Wartą, a może Wisłą.

W pokoju nad wartownią wiszą fotokopie map, przejętych przez wywiad Niemiec Demokratycznych. Na mapach tych grubymi strzałkami nanesione są kierunki uderzenia poszczególnych dywizji zachodnich na Berlin i Lipsk na Szczecin i na... Warszawę. To już nie są żarty, proszę panów.

— Albo taka rzecz — mówi młody niemiecki major, pełniący właśnie służbę. — Na parę tygodni przed zamknięciem granicy (czyli: przed postawieniem muru, bo inaczej granicy tej nie można było zamknąć) z wielkim hałasem startowały stamtąd kolumny amerykańskich czołgów, przez całą szerokość Alei. Staliśmy w poprzek jezdni luźnym szeregiem — ja sam stałem tak parę razy, z kategorycznym rozkazem nie sięgania po broń, oko w oko z walącym na mnie żelaztem. Jechali w bojowym szyku wprost na nas i zatrzymywali się na parę kroków przed wałką żywą zapora. Sie können mir glauben — mówi major — nie jest łatwo tak stać. O wiele trudniej niż wysłuchiwać codziennych okrzyków zza muru: ty czerwona świni, ty bolszewicki pacholku. Może i dziś panowie usłyszą coś takiego, chociaż podjęto właśnie rozmowy o przerwaniu świątecznych i policjant z tamtej strony powiedział mi dziś rano: „Morgen, Herr Major!”, Unerhör!

Czarnaśmiały raz próbował podkopać pod murem, z tego parę prób było udanych wykrytych z opóźnieniem. Raz przeszedł przez taki tunel bojówkarz zachodniobermberski — pokręcił się po Berlinie Demokratycznym, a kiedy w drodze odwrotnej na pewniaka szedł wprost na pas graniczny i został zatrzymany przez dwuosobowy patrol — wyjął zamiast dowodu rewolwer i zabił jednego

z żołnierzy. Zabił, pobiegł parę metrów — i był bezpieczny. Ba — był bohaterem: czekał na niego telewizyjny wóz, fotoreporterzy, prasa. Te zdjęcia też wiszą nad wartownią, przy Brandenburskiej Bramie.

— Tutaj decydowało się już parę razy: wojna czy pokój. Dla nas i

dla was — mówi major. Ma rację. To jest poważna sprawa, chociaż przejawy czasem nieomal szubackie. Jak te gigantofony które podcichały do granicy stref i wykrzykiwały swe propagandowe slogany, dopóki nie odpowiedziano im podobnymi gigantofonami z tej strony, nadającymi



muzykę. Ostatecznie hałasu nie można było potęgować w nieskończoność. Jak ten policjant zachodniobermberski, który podchodził do samej estradki, staje w nonszalanckim rozkroku i z odległości czterech kroków wpatruje się w twarz turystów z uśmiechem, który pół wiełu temu byłby wystarczającym powodem, do pojedynku. Jak warunek, że formalności związane z przechodzeniem granicy załatwiać mają urzędnicy poczty, a nie władze administracyjne, bo, nieuznawane państwo — NRD — nie może mieć władzy!

— Nawet do fryzjera nie mogłam się dostać! — opowiada pani B. o czasach sprzed zamknięcia granicy. — Wszędzie, na każdym kroku zachodni berlińczycy ze swoją walutą byli pierwsi. Jakże można toleować w jednym mieście dwie różne marki? To była dziura w naszej kieszeni. Ulekała przez nią wszystko.

— Kaperowanie ludzi przybrało niepokojące rozmiary. Fachowcy utrzymywano latami na listach plac zachodnich przedsiębiorstw, ktoż się oprze perspektywie wejścia od razu w posiadanie poważnych sum? Wyjeżdżali i wywozili nasze techniczne sekrety. Potem na Targach Lipskich zachodnia firma oferuje wynalazek, dokonany w Halle i uważany za potłufny. Zadne państwo na świecie nie wytrzymałoby sytuacji, gdzie granica w jednym miejscu otwarta jest na oścież i pozbawiona praktycznie jakiegokolwiek kontroli.

— Jakże więc wyobrażacie sobie dalszy rozwój wypadków? — pytamy majora.

— Nie bardzo znam się na polityce — odpowiada z uśmiechem — ale myślę, że wcześniej czy później zachodni berlińczycy sami zrzucą karkołomną nienaturalność swej sytuacji. Że dojdzie do ogłoszenia zachodniego Berlina wojnym miastem — ze wszystkimi konsekwencjami, to znaczy także z wymanipulowaniem się spod nieobcych wpływów Bonn. Stosunki nasze z takim organizmem politycznym na pewno uunormują się i ustabilizują szybko, ku zadowoleniu obu stron. Tymczasem widzę pan; nieczynne odcinki metra łączące dawniej dzielnicę zachodnią z resztą miasta, zamknięte na głucho, naszczęja i perastają grzybem. Wybudowaliśmy nowy odcinek kolejowy do Poczdamu, omijający Berlin zachodni, a określona trasa samojezdowa jest o kilkanaście kilometrów bliższa od trasy właściwej, przecięten murem. Był pan w Poczdamie?

— Będzie jutro — odpowiada, żegnając się z majorem. Młody autokar pełen żołnierzy amerykańskich wyglądających ciekawie przez okna, ścieca właśnie w Wilhelmstrasse. Jakis zaważony ruch graniczny istnieje, więc nadal, mimo że rozmowy o odwiecznych świątecznych toczą się opornie już od paru tygodni. Przy Invalidenstrasse — gdzie znajduje się najbardziej ożywiony punkt graniczny — żegnają się czule dwie starszki, chyba siostry. Caltija się długo, potem ta z pieskiem zostaje a tamta przechodzi na drugą stronę ulicy. Przechodząc ogląda się parę razy i macha chusteczką; jak przed wielką podróżą.

A to jest tylko druga strona ulicy, po tamtej stronie hiszpańskich kozłów za plecami młodego chłopca z karabinem.

SZKOLNICTWO

Dalszy ciąg
ze str. 1

szczególną wymowę — procent młodzieży kształcącej się dalej. Prawie ośmiu na każdych dziesięciu absolwentów szkół podstawowych w woj. łódzkim nie poprzestaje na osiągniętym minimum wiedzy. Możliwość dalszej nauki, otwiera zagęszczająca się sieć szkół średnich ogólnokształcących, a przede wszystkim zawodowych.

Rozwój szkolnictwa zawodowego jest drugą — po powszechności nauczania — cechą charakterystyczną szkolnictwa w Polsce Ludowej. Uzasadnione to jest wciąż daleko niezaspokojonymi potrzebami gospodarki narodowej na wykwalifikowane kadry. Troskę o powiększenie sieci szkół zawodowych różnych szczebli przedśledzić można również na przykładzie woj. łódzkiego. Tylko w ciągu ostatnich czterech lat liczba uczniów w szkołach zawodowych dla młodzieży i dorosłych wzrosła z niepełnych 10 tys. do ponad 35 tys. Jeśli w roku szkolnym 1958/59 jeden uczeń szkoły zawodowej przypadł na 162 mieszkańców, to w roku 1962/63 już na 47.

Szkolnictwo zawodowe ma przed sobą wielkie perspektywy. Jak bowiem wyliczono, obecna siatka

tych szkół tylko w 45 proc. zaspokaja zapotrzebowanie województwa na wykwalifikowanych robotników i w 43 proc. na kadry z wykształceniem średnim. Oczywiście, najbardziej poszukiwani są specjaliści o przygotowaniu technicznym i rolniczym.

Deficyt wykwalifikowanej kadry, która mogłaby swoje przygotowanie zawodowe udokumentować ukończeniem odpowiedniej szkoły, jest w wielu dziedzinach naszego życia zjawiskiem ogólnokrajowym. Dla ilustracji problemu posłużyć się tutaj kilku liczbami.

W r. 1960 na 1.000 mieszkańców przypadają: pracowników ze średnim wykształceniem 17,8, z wyższym — 9,1, podczas gdy pożądaną proporcję powinny wówczas wynosić: 23,1 oraz 11,0.

W tymże roku na 59 tysiącach stanowisk, na których wymagane było wykształcenie wyższe zatrudnialiśmy osoby z wykształceniem średnim, natomiast na 156 tys. stanowisk przeznaczonych dla ludzi z wykształceniem średnim — praktyków.

Przytoczone powyżej liczby — a trzeba tu zauważyć, że liczba uczniów w szkolnictwie zawodowym wzrosła w porównaniu z rokiem 1937/38 prawie 7-krotnie — wskazują wyraźnie na rozmiary zapotrzebowania gospodarki narodowej na specjalistów i narzucają konieczność powiększenia tem-

pa dopływu kwalifikowanych kadr.

☆

Spośród licznych osiągnięć szkolnictwa w XX-leciu powojennym wymienilem powyżej tylko dwa: upowszechnienie kształcenia w za kresie 7 klas i co zatem idzie otwarcie możliwości dalszej nauki zdecydowanej większości absolwentów szkół podstawowych oraz szeroki rozwój szkolnictwa zawodowego. Oczywiście, nawet w części nie wyczerpuje to zagadnienia. Nie można przecież nie wspomnieć o rozbudowanym systemie oświaty dorosłych i oświacie rolniczej, o trosce o warunki materialne szkoły, o piece nad dzieckiem i młodzieżą, rozwiniętym systemie kształcenia nauczycieli i doskonalenia ich umiejętności zawodowych, a nade wszystko o nadaniu szkole i nauczycielowi wysokiej rangi w procesie wychowawczym.

Nie można nie wspomnieć o reformie szkolnej, u podstaw której leży zarówno dążenie do lepszego przygotowania młodzieży do pracy zawodowej, jak i aktywnego udziału w życiu społecznym.

Lapidarną, ale jakże wymowną, ocenę XX-letniego dorobku szkolnictwa w Polsce Ludowej dał przed kilku dniami na zjeździe ZNP premier Cyrankiewicz w słowach:

„Możemy dziś powiedzieć sobie z uczuciem dobrze spełnionego obowiązku, że wykonaliśmy i w tej dziedzinie program, który proklamował przed dwoma dziesiętkami Ist Manifest Lipcowy Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego...”

WIESŁAW BEK



spektakle tygodnia

FILM

WŁOKNIARZ — „Koniec naszego świata” . . . 11 608 widzów
POLONIA — „Gwiazda szeryfa” 10 314 ..

TEATR

POWSZECHNY — „Romeo i Julia”
2 spektakle 1 009 — 76%
„Szkoła obmowy”
1 spektakl 662 — 99%
JARACZA — „W pustyni i w puszczy”
2 spektakle 1 350 — 98%
„Moralność pani Dulskiej”
1 spektakl 680 — 98%
7.15 — „Odjazd 6-55”
6 spektakli 1 345 — 50%
NOWY — „Maria Stuart”
1 spektakl 580 — 80%
NOWY (Mała Sala) — „Wieczny małżonek”
5 spektakli 1 300 — 90%
OPERETKA — „Piasznik z Tyrolu”
2 spektakle 1 400 — 100%
OPERA — „Verbum Nobile”
1 spektakl 703 — 100%
FILHARMONIA — Koncert symfoniczny
2 koncerty 1 050 — 55%

Cyfrы procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

KONRAD FREJDLICH Daleko od Zdroju

Pierwszy dzień prawdziwie wiosenny, więc mgły są cofnięte. Ale nie na tyle, żeby zobaczyć panoramę gór, wyrazistą i taką, jakiej dostarcza sezon w pełni. Cóż rozprawić o lecie? Rzeka „Białka” ocierająca się bokiem o miasteczko, gdyby tak nagle zmieniła koryto i runęła na domy, na zabudowany prostokątny rynek nie była by pewnie zdolna przynieść tego spustoszenia, co każdej niedzieli tabuny turystów ze Śląska i diabli wiedzą skąd jeszcze, przecież nie można wszystkich przyjeźdźnych szarpać o osobisty dowód. Latem dla miejscowych robi się za ciasno, i najchętniej uciekają na Otmuchów, bo w Glucholazach naprawdę nie ma miejsca.

Ale właśnie jest po sezonie i przed sezonem, bo przecież ten wielki ruch, jak zawsze rozpoczyna się między majem, a wrześniem. Na razie trzy domy wczasowe pod jednym i tym samym wezwaniem „Polonia”, funkcjonują spokojnie, bez zwiariwanego pośpiechu, więc i turnusy mijają bez rozgłosu. Restauracja „Lesna” z dancingiem i miejscami noclegowymi na górze, ożywia się tylko raz w tygodniu, w soboty — dzień muzykowania i tańców. Letni dochód zima systematycznie pożera i rok zostaje zamknięty trzydziestoma tysiącami złotych deficytu. Nie jest to w końcu suma zbyt zawrotna, więc władze PSS przyznają jej na nią, oczywiście że „Lesna” jest sławna w całym województwie opolskim i na Śląsku, a stawa kosztuje. Na tej zasadzie egzystuje niejedno wczasowisko w Polsce, znajduje więc swoje uzasadnienie i byt domów FWP w Glucholazach z przynależnościami w postaci parku zdrojowego, basenu kąpielowego, trzech sanatoriów dla chorych na płuca oraz bliskości granicy polsko-czeskiej.

Właściwie nie da się ściśle oddzielić kurortu od samego miasta. Nie ma jakiegoś wyraźnego przejścia, a teraz, kiedy ruszyła budowa spółdzielczego osiedla domków, rzecz się jeszcze bardziej gmatwa. Trzydzieści piętrowych budynków na kilka rodzin, każdy wbiła się klinem w terytorium Zdroju, bo upodobano sobie pod budowę południe, podwójnie południe, bo miasta i kraju. Ludzie chodzą na spacerki nie mając świadomości, że nieustannie przekraczają granicę, bo w końcu po czym mają ją poznać, chyba że po mchu na drzewach. Z kolonii spółdzielczej i Zdroju jest dziesięć minut drogi do środka miasteczka, a jak się komuś śpieszy, to nawet przedzój dojdzie do Prezydium. Ale Zdrój jest przynależny przede wszystkim górą i turystom. To nie metafora, raczej chodzi o precyzję. Miasto jako ta-



kie żyje między sezonami, a letni najazd jest cykliczną interwencją w jego spokojny i pracowity żywot. Nie znaczy to, że w Glucholazach wszystko przebiega bez zakłóceń. Przez parę tygodni ludzi dziwiło, że ktoś systematycznie wybija szyby w Zdroju. Potem przypłynęło paru chłopców na podkładaniu kamieni pod pociąg czeskie, które na terenie Glucholazów mają swoją bocznicę. Kolejnym obiektem zainteresowania stawały się także, czy inne nieporozumienia rodzinne, ale jedno szczególnie wryło się ludziom w pamięć. Pokazują nisko, niepozornego człowieczka, który podobno założył głodówkę. Podobno, gdyż po namyśle zrezygno-

wał z całkowitego wyrzeczenia się jedla i napoju. Ta, której dedykował swoje męczeństwo, ślubna małżonka, zignorowała rozpaczliwy protest. Od tej pory przeszedł na suchy prowiant z zakładowego kiosku. W domu nie tknie niczego, co się zwie jedzeniem. Za to żony dotyka codziennie i to najchętniej pięścią. Więc żona konsekwentnie ignoruje rozpaczliwy protest. W ten sposób kolo się zamyka i płynie tygodnie.

Ale, jako się rzekło, jest pierwszy prawdziwie wiosenny dzień tego roku. W barze „Polonia” z widokiem na rynek, dziewczyna z miejscowej szkoły gastronomicznej flirtuje z trzema chłopcami na raz i z każdym z osobna. Opierając się o blat pokazuje odnośną cyferkę, czeka i po chwili wymienia cyferkę z następnym chłopcem, co jest równoznaczne z taką, czy inną odpowiedzią, wydrukowaną bezpośrednio za numerem. W ten sposób dojrzwiałą generacją glucholazan rozstrzygnięta na swoją korzyść ciągnąca się od dłuższego czasu w Prezydium dyskusja, czy uczynić „Polonię” kawiarnią młodzieżową. W ogóle młodych jest tutaj dużo, zwłaszcza dziewcząt, o czym w jakiś sposób rozstrzyga struktura przemysłu; znalazły zatrudnienie w fabryce guzików, a zakłady konfekcji im. Obrońców Pokoju też od nich nie stronią. Więc młode paradyżu po pracy w płaszcach z laminatami, co dla niewtajemniczonych będzie pewnie przyczynkiem do równouprawnienia najmniejszych miast tego kraju w dystrybucji; wtajemniczeni powiadają, że glucholaska odzieżówka szyla z laminatów, jako pierwsza w Polsce.

Gdyby wielkość i znaczenie miast oceniał na podstawie budynków stacyjnych kolei, Glucholazy znajdują się rzeczywiście gdzieś na szarym końcu, a ich nazwa wystarczałaby za całą charakterystykę. Ale dworce kolejowe są najbardziej przewrotnymi informatkami, nawet jeśli nie są oddalone od osiedli mieszkalnych o kilometr, czy dwa drogi. Żywny zapach, który się czuje po wyjściu z pociągu, może sugerować bliskość lasów, samo jądro przyrody. Utwierdza w tym powolność kasjerki i zwirowany pe-



ronik. Ale smak drewna w powietrzu ma swoją przyczynę raczej w unicestwianiu natury niż jej bliskości. Drewno pocięte na deski siskładowane jest na kilku placach obok stacji. W ogóle fabryka mebli upodobala sobie jakoś bliskość linii kolejowej, może dlatego, że surowiec trzeba dowieźć z centrum kraju. Trochę tego drewna jest również z importu. Te same kłopoty surowcowe odczuwa największy zakład w Glucholazach — fabryka papieru. Tak zrośnięta z miastem, że był okres kiedy więcej niż połowa domów w Glucholazach stanowiła jej własność, a co za tym idzie kłopot, bo fluktuacja kadry jest zjawiskiem tak samo dobrze znanym na krańcach jak i w centrum. Ludzie zmieniali pracę, ale zostawali w fabrycznych mieszkaniach, bo człowiek lubi się przywiązywać do miejsca, w którym urodził się jego dzieci i w którym spędził się najlepsze, bo najmłodsze lata. Dyrektorzy fabryki wysyłali brygady na remonty budynków i wysłuchiwali pretensji rodzinnych byłych pracowników, a już jest coś takiego w człowieku, że najprostszą sytuację lubi gmatwać, gdy ma coś do ukrycia, bo sprawy rodzinne są zwykle wstydliwe. To właściwsze zajęcie dla księdza i kwaterunku po części, ale kwaterunek jakoś nie kwapił się do przejmowania domów, bo fundusze na remonty są limitowane, a poza tym kwaterunek ma swoje własne kłopoty. Domów z mieszkańcami kwaterunki, tak znowu bardzo nie pragną, bo mają dość podać o nowe mieszkania. Więc ten stan utrzy- mywał się dopóki dyrektor Kaźmierczak przysłany do Glucholazów rok temu przez zjednoczenie, nie postanowił, że domy należałoby zbyć po prostu ludziom, a że chętni się znajdują, to już za to ręczył, bo w końcu nie pierwszy rok pracuje z ludźmi i nie pierwszy na Ziemach Zachodnich. Podał zwa- lilo się tyle, że oddelgowani do tej sprawy pracownicy fabryki błogosławili dyrektora i pili sobie w brodzie, że się dali wciągnąć w robotę społeczną, która bez mała wymagała więcej wysiłku niż zajęcia produkcyjne. Ludzie lubią się rozpisywać w tym stylu, że mają reumatyzm i siedmioro dzieci, a wszystko z wilgoci, więc każda sprawa wymaga dokładnego roz-

ważenia zwłaszcza, że podać jest więcej niż domów na sprzedaż i łatwo kogoś skrzywdzić.

Biografia inż. Władysława Kaźmierczaka jest typowa dla wielu pracowników zakładu. Praca w prze- mysle papierniczym wymaga bardzo wąskiej specjalizacji, żaden mechanik, który nie pozna urządzeń dokładnie, nie polapie się w ogóle w tej płatninie trybów i wałców, jaką stanowi maszyna do produkowania papieru. Nawet nie wiadomo, gdzie jest przód, a gdzie tył takiej maszyny. Toteż w „papierze” pracuje ta sama niemal, zamknięta grupa ludzi, wędrująca co parę lat od zakładu do zakładu. Dyrektor Kaźmierczak zaliczył już, mówiąc po studencku, Myszków i Pabianice i Żywiec, a jak ktoś jest fachowcem, co tu dużo mówić, fachowców minister kocha i posyła do pracy na placówki. Każdy wyjazd stanowi komplikację, bo emigrować musi cała rodzina i dzieci nieraz w połowie roku przerywają naukę. Więc ludzie marzą po prostu, żeby posiedzieć w jednym miejscu chociaż parę lat, do czasu ukończenia szkoły przez ich dzieci.

A w „papierze” pracuje się w piątki i święta, ciągłość produkcji i tylko przez 6 dni w roku nie schodzi z maszyny taśma papierowa. Dzień i noc, robota na trzy zmiany, co do nocek zaś, znają je dobrze ci, którym wypadło kiedyś przesiedzieć do rana. Oczy się kleją, a wystarczy dosłownie kilka minut drzemki, żeby zamiast papieru zesłała z maszyny makulatura. Trzeba się diabelnie pilnować, żeby było jak najmniej „zrywów”. Ale „zrywów” nie da się wyeliminować zupełnie. Wiele od czasu do czasu hal produkcyjną przesywa gwizd. Gwizd na palcach, jak na gołębie, innych sygnałów alarmowych nie potrzeba. I wtedy, metr po metrze cała brygada zakładu ponownie wstępuje papieru na maszynę. Omijając instynktownie odsonięte tryby i wałce. Na całej długości maszyny, a to jest 60-80 m. Od zrzęności tych ludzi zależy wydajność, a zjednoczenie co roku dołdża 500 ton papieru do planu. Załoga najpierw sarka, ale potem plan zostaje wykonany przy tych samych siłach co przed rokiem.

W Glucholazach pierwszy dzień prawdziwie wiosenny, więc i w osiedlu domków spółdzielczych więcej niż zazwyczaj błota. Dróg się na razie nie buduje, później, w czynnie społecznym mieszkancy po- łozą kostkę. Osiedle jest dzieckiem zakładów papierniczych, jak niemal tu wszystko. Najpierw trzeba było dawać ludziom bez mała klucze od gotowych mieszkań i zachęcać, żeby zechcieli je przyjąć. Jeszcze 3 lata temu. Teraz? Ludzie czekają z pieniądzem w kolejkach i kłną kumoterstwo, bo bez kumoterstwa nie sobie w tym kraju nie można wyobrazić. Teraz jest to międzyzakładowa spółdzielnia mieszkaniowa, więc już nie tylko „papier”. W taki dzień jak dzisiejszy naprawdę słabo widać góry. Latem jest inaczej i nawet kontrolerzy lubią tutaj zjeżdżać dłu- biąc ponad potrzebę w dokumentach. W świadomości obcych Glucholazy funkcjonują latem. Na styku dwóch sezonów do Zdroju jest daleko.

POCZĄTEK SEZONU

Zaczął się sezon piłkarski roku 1964. U nas zaczął się na śniegu. A potem ruszył poprzez roztopy i błoto przy dołowy pustych stadionach. Ale kibice, nasi kibice podnieśli głowy. Przede wszystkim jednak dźwięnieli je oficjele. Wielka armia urzędników futbolu. Nareszcie po latach, długich latach mają po temu powód. Bo w piłkę można grać u nas coraz lepiej. Ależ tak. Nie gra się jeszcze znakomicie. Daleko nam do brazylijskiej doskonałości. To prawda, gramy gorzej niż Angilcy i gorzej niż Związek Radziecki. To prawda, nasza olimpijska kadra nie mogła się uporać z „Valenciennes”. Gramy jednak przyzwolnie. Maluczo, a będziemy grać wybornie. Dowody? Chcecie dowodów. Proszę bardzo. Czyż wiele dzieliło „Gornika” od mistrzostwa amerykańskiego od mistrzostwa Rappana? Czyż bytomska „Polonia” nie rozniosła „Oergryte” i to nie u siebie, lecz w Goeteborgu? To są fakty. Twarde, nieodparte fakty. A jednak... Amerykańska Interliga jest imprezą, którą bierze się na serio. Ale, w której — poza nielicznymi wyjątkami — nie startują czołowe kluby europejskie. Puchar Rappana? To już sprawa znacznie mniej poważna. O puchar Rappana nie gra się tak jak o klubowy puchar Europy. A „Oergryte”? Bądźmy ostrożni. W Szwecji nie zaczął się jeszcze piłkarski sezon. A przy tym Szwecja... Szwecja od lat nie dysponuje silnymi klubami. Szwecja ma za to silną reprezentację. Bo silne kluby i silna reprezentacja to jednak dwie różne rzeczy. Owszem, zazwyczaj idą ze sobą w parze. Węgry w latach swej piłkarskiej świetności miały dwie znakomite drużyny klubowe — „Honved” i „Voros Lobogó”. Brazylia ma „Santos”, ma „Botafogo”, ma „Flamengo”. Ale Hiszpania? Niedawno jeszcze temu do najsilniejszych klubów Europy zaliczał się „Real” i „Barcelona”. „Real” zresztą zalicza się do nich nadal. Ale reprezentacja Hiszpanii grała gorzej, znacznie gorzej niż każdy z tych klubów. Była pięknym zestawieniem znakomitych piłkarzy, którzy nie podawali sobie piłek. Bo nie znosili się nawzajem. I którzy grali ostrożnie, nie chcieli krzykować. Bo za grę w reprezentacji dostawali mniej pieniędzy niż za grę w barwach klubu. Trzeba się więc oszczędzać. Trzeba grać roztropnie. Tu łatwo o kontuzje. A kontuzja może być nieszczęściem dla klubu. Mniejsza o klub. Dla mnie samego. Dla moich dochodów. Na tym jednak rzecz się nie kończy. Można mieć silne kluby, płacić za grę w reprezentacji godziwe sumy i mieć mierną, lichą reprezentację.

O reprezentacji bowiem decyduje układ — znalezienie efektywnego układu. Decyduje tu kompozycja. Każdy kibic wskaże natychmiast na wielkich graczy, ale wielkich w swoim klubie. W reprezentacji wypadali załóżnie. Nie mieścili się w nowym układzie. Nie potrafili się do niego przystosować. I każdy kibic wskaże graczy — choć przyjdzie mu to z większym trudem — miernych w klubowej jedenastce, wielkich jednak wówczas, gdy przywdziali reprezentacyjne koszulki. Gdy dostawali innych partnerów. Gdy trafiali w nowy układ. Układ bowiem rozstrzyga o jakości piłkarza. Rozstrzyga badając w większym stopniu niż indywidualne kwalifikacje.

Zaczął się sezon piłkarski roku 1964. Zaczął się od skandalu. Od afery we Włoszech — afery „Bologni”. „Bologna” jest jednym z najsilniejszych klubów w tym kraju. Jest klubem zresztą prostą międzynarodowym. Gra tam przecież Harald Nielsen i gra Haller — wielka vedetta niemieckiego piłkarstwa. Ale reszta... Reszta to niemalże bez wyjątku sami Włosi. „Bologna” ma trenera. Dobrego trenera. Jest nim pan Bernardini. Był nim. Już nie jest. Z dyskwalifikowano go na półtora roku. To właśnie był finał afery. Rozegrała się ona wokół środków dopingowych. Pan Bernardini bowiem siał po dopingu. Dzięki nim można grać szybciej. Można forsować tempo gry. Dzięki nim gracz ma lepszy refleks. I mniej zważa na swoje nogi. Łatwiej zapomina o sznansach kontuzji. Nie boi się jej. Nie chce jej unikać. Środków dopingowe gwarantują lepszą grę. I co ważniejsze — mogą przynieść zwycięstwo. Wówczas nie ma zmęczenia. Nie wiemy czym jest zmęczenie. Słyszyliśmy o nim kiedyś. Ale było to dawno. Zdażyliśmy już zapomnieć. Wygramy ten mecz. Musimy go wygrać. I na pewno go wygramy. Dopiero potem... Potem przychodzi ostateczne wyczerpanie. Na nic już nie mamy sił. Włosy opadają nam na czoło. Chcielibyśmy je odsarnać. Nie potrafimy. Bardzo trudno jest odsarnać włosy. Trzeba unieść rękę. Trzeba zgiąć ją w łokciu. To wielkie ciężkie zadanie. Musimy to w końcu zrobić. Ale jeszcze nie teraz. Nie teraz.

Środków dopingowe dewastują organizm. Są nagminną plagą kolarzy. Kolarze wiedzą co to doping. Przekonali się o tym na własnej skórze. Tak jak przekonali się o tym gracze „Bologni”. Trener Bernardini doznał się dyskwalifikacji. Złamał bowiem reguły gry. Gra wymaga względnej równowagi sił. Zaden bokser nie walczy z dwu przeciwnikami naraz. Kolarzowi nie wolno jechać tuż za samochodem. Trener Bernardini zakłócił względna równowagę sił. Zakłócił ją za pomocą pastylek czy proszków, czy iniekcji. Odsunęto go od drużyny. Z tego tylko powodu? A dewastacja organizmu? Nie dajmy się ogłupić. Sport wyczynowy w aktualnej fazie swego rozwoju jest z reguły... Nie, nie dewastacja. To byłaby przesada. A w każdym razie nie zawsze dewastacja. Ale jest zawsze jednokierunkowym specjalizowaniem organizmu. Nastawianiem go na grę. Tylko na grę. I na nic więcej.

Punch



„PRZEDWIOSNIE”

Fot. E. Kudaj

Gdy rozejrzysz się wśród bliźnich, łatwo doszłuchasz: jedni żyją normalnym życiem i co dzień, inni — raz na tydzień, ale za to w upojeniu, w transe. Ta druga kategoria bliźnich żyje oczekiwaniami i nadzieją. Któregoś dnia po niedzieli siadają w skupieniu ducha i zapominając o wielkiej sztuce pisania, kreślą swą wymyśloną przyszłość przy pomocy krzyżyków. Tu sześć krzyżyków, tam sześć — razem pięć kombinacji, czyli wariantów. Wykreślają z 49 liczb sześć, bo za trafne skreślenie szóstki pada milion złotych. To rysowanie krzyżyków nie kosztuje wiele — już za jeden wariant czyli za sześć krzyżyków masz prawo do głównej wygranej, a wśród 2,5-3 milionów grających co tydzień nie ma chyba takiego, który skreślając liczby na kuponie nie podniecałby się otuchą, że „ktoś przecież musi trafić! Dlaczego właśnie nie ja!”

Ale tak pocieszają się ludzie bez wyobraźni i kandydaci do kryminału. Sady naraz wydały już kilkanaście wyroków na łączną karę około 120 lat więzienia dla tych, którym zabrakło właśnie wyobraźni, którzy w gorące hazardu przestali już odróżniać pieniądze własne od cudzych — państwowych. Kary, głownie księgowi, magazynierzy... Niedawno był proces na Wybrzeżu, teraz zaś znów w Zielonej Górze padł wyrok 15 lat. Temu z Zielonej Góry powiodło się fatalnie. Miał o nieszczerze wygrać 200 tys. w totka, zatem więc kupił sobie samochód i umebłował mieszkanie, grał potem dalej wysoko, a że w końcu własnych pieniędzy już na ten hazard nie starczyło, sięgnął po państwowe, ciągle w tym głęokim przekonaniu, że „jeśli wygrałem raz, to wygram i drugi...”

Ludzie najniżej, ludzie bez wyobraźni, ludzie, którzy nie czytają gazet, ani nie słuchają radia. Bo gdyby czytali, dowiedzieliby na czas, dowiedzieliby się np., że prawdopodobnie trafienia sześciu liczb spośród czterdziestu dzie w lotto jest jedno na 14 milionów kombinacji.

Szał gier liczbowych w Pol-

sce jednak mija. Dziś to już nie to, co rok 1958, gdy co tydzień w totku brało udział 25 czy 27 milionów zakładów 2-złotowych, gdy jak grzyby po deszczu wschodzili w naszym kraju „Liczyrzepki”, „Karolinki”, „Lajkoniki” i inne terenowe gry liczbowe. Ale okazało się, że niektóre gry terenowe zaczęły upadać (np. białostocka, rzeszowska i koszańska), inne od paru lat przeżywają kryzys. Nie pomagają nawet premie samochodowe, nawet cenne nagrody rzeczowe — okres począt-

Mamy więc w tej chwili totkową stabilizację. Pasjonują się grą jakieś 2-3 mln. obywateli, a zakładów wpływa co tydzień około 12-15 mln. Co tydzień liczy w Polsce na milion jakieś 10 proc. naszych braci, a ten stosunek 1 do 10 aktualny jest również i w Łodzi. W naszym okręgu totkowym (Łódź i województwo) gra regularnie ponad 150 tys. obywateli. Oczywiście jedni grają za 2 zł, inni za 10, a są tacy, którzy oddają po parę kuponów tygodniowo, są i zwolennicy systemów,

na ten kupon pada szóstka. Będzie to pamiętał całe życie...

☆

Idziesz ulicą i stwierdzasz rzecz zdumiewającą. Żadne usługi, sklepy żadnej branży handlowej nie rozwijają się w miastach i miasteczkach tak sprawnie i tak zgodnie z aktualnym zapotrzebowaniem rynku jak kolektury totolotki. Żaden przemysł nie wysadził się u nas na tak atrakcyjne i tak intrygujące prze-

ko połowa wypłacanych przez graczy pieniędzy przeznaczona jest na całonocne wygranane, a reszta służy celom sportowo-inwestycyjnym, zwrócić przez chwilę uwagę na inną stronę totkowego medalu: co w postaci tych inwestycji wróciło do Łodzi i województwa.

Okazuje się, że w ciągu tych sześciu lat totka wróciło do nas wiele milionów: Hala Sportowa — 14 mln. zł, stadion „Startu” na Balutach — 15 mln. zł, przebudowa toru kolarskiego w Helenowie — ponad 3,5 mln. zł, pawilon RTS Widzew — 2,5 mln. zł, kombinat sportowy tomaszowski „Lechii” — 8 mln. zł, hala sportowa w Piotrkowie — 4 mln. Znaczne kwoty z totkowych wpływów poszły na inwestycje w Sieradzu i Sierc niewicach i w innych ośrodkach szczególnie zaniedbanych pod względem sportowych urządzeń wiele milionów złotych zasila inwestycje będące obecnie w toku (np. przebudowa stadionu LKS, boisko Chojęńskiego Klubu Sportowego, stadion WAM między Sporną i Uniwersytecką, urządzenia sportowe na Mierzejewskiej i na Dąbrowie. Wsparło finansowo wiele obiektów sportu szkolnego w mieście i województwie.

Jeśli przyjąć, że teoretycznie nasze miasto i województwo mają prawo co najmniej do połowy tych kwot, jakie ich mieszkańcy wpłacili totkowi, to okazało się, że traktowani jesteśmy po macoszemu.

Ale czy można mieć do GKKFIT pretensję o to, że Łódź zamiast 200 milionów oddał tylko 100? Przecież to hazardujący się bracia-Polaków, goście z zagranicy mogli podziwiać bardzo kosztowne skocznie na FIS (coś około 70 mln zł), dzięki temu Poznań otrzymał nowoczesną przystań dla wodniaków na Malcie, dzięki naszym łódzkim złotokom wreszcie w zabytych deskami miasteczkach Białostoczyny czy Lubelszczyzny entuzjastki piłki nożnej, nie muszą kopać zmaczanki i kamieniami porozawać bramki... Może więc jesteśmy skwitowani?

FELIKS BĄBOL

PRZYSZŁOŚĆ, pisana krzyżykami

kowej świetności w grach liczbowych nie wróci. Dlaczego frekwencja w totku i w regionalnych grach za czela spadać? Było zdaje się kilka przyczyn: rosnąca stabilizacja gospodarcza w kraju i wzrost zaufania do złotych, czego najlepszym dowodem są w ostatnich latach rekordowe wkłady oszczędnościowe na PKO, znaczne rozszerzenie sprzedaży ratalnej co sprawiło, że nawet 10 czy 20 zł ma swoją wagę, jeśli regularnie co miesiąc trzeba wpłacać do ORS-u raty, no i wreszcie fala otrzeźwienia, która przeszła przez naród.

Tę falę ruszyli matematycy wrocławscy, którzy pierwsi obliczyli szanse obywatela na milion w oparciu o rachunek prawdopodobieństwa. Za tą falą otrzeźwienia pozostali tylko najbardziej zagorzali hazardziści, najbardziej zaślepieni gracze, którzy w swej naiwności sądzą, że jeśli zagrają na system, jeśli w tym systemie rzucą jednego tygodnia 50 tys. zł na 25 kuponów, w których każdy będzie miał 5 wariantów o 10 skreśleniach — no, to wtedy chyba samego diabła chwycą za róg!

dysponujący większym kapitałem zakładowym. Można powiedzieć, że miliona nie sposób sprowokować. Kierowca taksówki niedawno skarżył mi się w drodze do domu, że gra od początku ale nawet i głupiej czwórki nie miał. Raz z bratem postanowili rzucić na totka większą kwotę. Złożyli się po tysiącu i zagrali za dwa. Mieli kilka trójek zaledwie.

Totek rozwinął też wiarę w kabalistykę. Ojcowie każą nieświadomym dzieciom wypisywać liczby albo podsuwają im kupony, aby przekreślali jak popadnie. Inni chowają do kieszeni bilety tramwajowe i autobusowe i z liczb wydrukowanych na tych papierkach tworzą kombinacje totkowe. Inni wreszcie czekają na sny z liczbami. Jeszcze nie słyszałem, aby tymi drogami zdobyte liczby przyniosły komukolwiek choćby piątke z plusem. Oczywiście znam taki przypadek, że powąszył człowiek, głowa liczonej rodziny nie pokazywał się przez cały tydzień w domu, bo wstyd mu było spojrzeć najbliższym w oczy: wypelnil kupon, ale zapomniał go oddać w kolekturze, a właśnie

chodnia reklamy neonowe i hasła, jak właśnie toto-lotek. „Toto-lotek — to znaczy milion”, „Toto-lotek przyjmuje złotówki, wypłaca miliony”, „Toto-lotek buduje stadiony”.

Rynek został zdobyty dla toto-lotki kilka lat temu, gdy punkty odbioru kuponów rosiły jeden po drugim i gdy zarobki prowizyjne kolektorów kilkunastu tysięcy złotych miesięcznie. Ale gdy przybywało punktów zmniejszały się i zarobki kolektorów — dziś np. w Łodzi i w województwie przeciętna ich wynosi 2,5-3 tys. zł, bo obroty zmalały o połowę, a ilość punktów odbioru przeciwnie — wzrosła dwukrotnie.

Ale przecież my łodzianie i tak mamy jeszcze z czego być dumni. W kraju zajmujemy jedno z czołowych miejsc (trzecie — po Warszawie i Śląsku) w tym ogólnonarodowym składaniu pieniędzy na stadiony i wygrane dla szczęśliwców. Rokrocznie ciulamy w ten sposób, wyczułając z rynku około 70 mln., licząc więc od początku mieszkańcy Łodzi i województwa ułokowali w totku około 420 mln. zł. Ponieważ zaś tyl



XII. „TRZECIE POKOLENIE” GRA COOL

Tak jak w latach dwudziestych jazz chicagowski wygrał szorstkie brzmienie instrumentów stylu noworolandzkiego i „porządkował” niejako jego linie melodyczne, tak u schyłku lat 40 podobną rolę w stosunku do be-bopu odegrał styl zwany coolem. Określenie „cool jazz” (chłodny jazz) znalazło w odniesieniu do tego nowego stylu muzykowania bardzo trafne zastosowanie. Nerwowe, ostre, urywane i krzykliwe dźwięki fraz be-bopu zastąpione zostały łagodnie brzmiającymi i spokojnymi liniami melodycznymi. Ekspresję solistów be-bopu cool łagodził przytłumionym brzmieniem instrumentów i „odprężeniem” w grze dyktowanym przez nowy sposób przekazywania muzyki. To jak gdyby „zahamowanie”, pewna granica w wypowiadaniu zdań muzycznych powoduje, że cool staje się muzyką intymną, muzyką kameralną.

W przeciwieństwie do jazzu lat poprzednich, od chwili pojawienia się be-bopu całkowicie niemal zmodyfikował, przemianę, ulega gra sekcji rytmicznej. Szybka koncepcja „czterech równych części taktu”, perfekcja ciągłego i równego jego dzielenia, jednolitość akcentowania będąca cechą klasycznej sekcji noworolandzkiej, chicagowskiej, czy swingowych ulega zamianie na różnorodność znajdująca wyraz w polirytmie. Te pozorne sprzeczności w grze samej sekcji rytmicznej, w której na przykład ciągłość w tempa powiększa się kontrabasowi, a fortepian, gitara i szereg instrumentów perkusyjnych tworzą w takcie szereg pozornie sprzecznych rytmów, doprowadzają do powstania wspólnego bogactwa polirytmicznego. Wzrost czasu, w miarę rozwoju coolu, gdzie zanika — w dawnym tego słowa znaczeniu — solista, a muzyka tworzy cały zespół, polirytmia staje się kamrą, ujem muzykowania wszystkich lub co, najmniej czołowych instrumentalistów zespołu.

Wszystkie te nowe zasady muzyki zwanej cool-jazzem powodują, iż na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych dominująca rolę w jazzie przejmują ludzie, którzy posiadają gruntowne i wszechstronne wykształcenie muzyczne. Wymogi stawiane przez trudne, skomplikowane muzykowanie czepnie, a niekiedy tematy z muzyki poważnej, tematy narzucające konieczność znajomości zarówno kontrapunktu, dysonansów harmonicznych, jak i muzyki atonalnej, czy dodekafonii spr-



wiają, iż większość wielkich gwiazd jazzu tego okresu (Dave Brubeck, Paul Desmond, John Lewis, Milt Jackson) posiadała wykształcenie muzyczne zdobywane nierzadko u takich znakomitości, jak Dariusz Milhaud, czy Arnold Schoenberg. Jazz cool w wykonaniu Modern Jazz Quartetu lub kwartetu Dave Brubecka staje się muzyką łączącą procyję wykonania z dozą uczuciowej improwizacji; staje się muzyką odkrywczo przetwarzającą klasyczne tematy muzyczne (Bach, Ravel, Strawiński), staje się muzyką, która podjęła zadanie nie tylko bawienia i dostarczania rozrywkę w nocnym klubie, ale i przyniesienia globalnych wzruszeń i wrażeń estetycznych doznawanych w sal koncertowej.

ANDRZEJ KRÓLIKOWSKI

3 razy na tydzień

Z pewnych względów „Literaturna gazeta” jest pismem, o jakim my możemy tylko marzyć. Ukazuje się trzy razy w tygodniu, sposobem łamania i wielkością kolumn przypomina zwyczajną gazetę. Aczkolwiek jest organem Związku Pisarzy Radzieckich, to służy przede wszystkim czytelnikom literackim, popularyzuje problematykę literacką i społeczno-polityczną, dba o jej przystępność — co nie znaczy, że splotone — rozwijanie. W roku bieżącym wzbogaciła swoją zawartość. Ukazuje się od 35

tnie głos zarówno w sporach natury ogólnej, jak i w ocenie konkretnych wydarzeń literackich lub odczynach społecznych. Czytelnicy, razem z pisarzami i krytykami, omawiają książki, wyprawiają swoje upodobania i pretensje, biorą udział w dyskusjach na temat kandydatów do nagród literackich, zwracają się z prośbami o interwencję (interwencja prasowa odgrywa znaczenie większą rolę niż u nas ze względu na swoją skuteczność). Czytelnicy — zacierający tak często głos — są uczonymi lub pracownikami naukowymi, działaczami i nauczycielami, robotnikami i koczownikami.

Na łamach „Gazety” stale toczą się spory. Niektóre tematy dość często powracają, nabierając przez to szczególną rangę. Znowu więc dyskutuje się o tym, jak ma wyglądać bohater naszych czasów w literaturze, jakie cechy ma reprezentować, aby mógł stanowić drogowskaz życiowy. Towarzyszy tej dyskusji pytanie, kim w ogóle jest

nasz współczesnik? W ostatnich numerach znajdujemy rozważania o wymownych tytułach: „Powieść i jej bohater”, „Gdzie jesteś Czapajewie naszych dni?”, „Zielona gałąź życia”...

Rozważania uogólniające znajdują swoje odzwierciedlenie w reportażach i korespondencjach. Spotykamy się zarówno z bohaterami pracy, z ludźmi wysokiej świadomości, jak i z 24-letnim robotnikiem sowchozu, analfabetą, o którego środowisko nie zadbało, morderca studentki — szajstki.

Jak się okazuje, znowu staje się aktualna reforma ortografii rosyjskiej. Z jej zwolennikami, reprezentującymi naukę filologii, polemizuje lekarz z Dagestanu, pisząc:

„Po pierwszej, całkowitej usprawiedliwionej reformie z 1918 roku długo nie było skarg, dotyczących kłopotów z zasadami pisowni. Sygnały tego rodzaju pojawiły się później, gdy zaczęto je uzupełniać drobnymi, ale licznymi zmianami w gramatyce. Druga reforma stała się potrzebą w 40 lat po pierwszej, a proponowana trzecia — zaledwie po upływie ośmiu lat... „Artykuł nosi znamienity tytuł: „Groźba nowej reformy...”

My, czytając te kontrowersyjne wypowiedzi, możemy jedynie przypomnieć: sobie naszą sytuację na tym trudnym nie tylko dla

uczniów odcinku. Wygląda ona w ten sposób, że w wielu wypadkach nikt już właściwie nie wie, jak należy postępować! Wszystko wskazuje na to, że nasza sytuacja da się określić również wspomnianym tytułem: „Groźba nowej reformy”...

Znowu dużo uwagi poświęca się nie tylko problemom przemysłu chemicznego, ale i sprawom szkoły w różnych aspektach, a także — kulturze bycia na codzień, która stanowi i u nas wielką troskę.

Charakterystyczne uwagi zawiera wypo-



wiadź ludowego artysty

ZSRR, Mikołaja Akimowa. „Wielka rola przyzwyczajenia w dużym stopniu określa nasze codzienne zachowanie. W nadciągającym wieku automatyzacji i cybernetyki... człowiek powinien zwrócić szczególną uwagę na własną „automatyzację”, na działania, wykonywane automatycznie bez użycia rozumu, energii na ich oszczędzenie, obmyślenia i decyzję...”

Wszystkie te automatyczne działania, zaprogramowane przez naszą pamięć, dzieją się jak gdyby same przez się, nie absorbując nas i nie męcząc.

Ale nie wszystkie programy są jednakowe.

Niektórzy z równą łatwością, nie zastanawiając się, potracają innych, klną, piją wódkę i grubiąnią...”

Akimow szuka przyczyn. Wymienia wśród nich również i upodobania w cwaniacko-chu ligańskim żargonie, wyjąłowionym z pojęć, który jednak określa i postawę, pogląd na życie. Dzieci trzeba uczyć grzeczności, ale pamiętając o tym, iż nie będzie to skuteczne, jeśli dzieci, wchodząc w świat dorosłych, zetkną się w nim z zaprzeczeniem rozwijających w nich dobrych nawyków, a tak, niestety, dzieje się nazbyt często.

Szczególną uwagę, i chyba najsluszniej, przywiązuje autor artykułu do niejako filozoficznego uświadamiania wzajemnych stosunków między człowiekiem i społeczeństwem.

„Wielkie słowa o tym, że w naszym społeczeństwie człowiek człowiekowi jest przyjacielem, towarzyszem i bratem, muszą znajdować w życiu realne ucielenie w każdym po-
stępku, słowie, geście...”

W numerze z 28. III grono pisarzy i działaczy apeluje o „przywócenie imienia w literaturze” rewolucyjnej działalności i pisarce, współautorce scenariusza znanego filmu „Koleżanki” — Raisie Wasyliewej, która w 1935 roku, po zabójstwie Kierowa, została aresztowana i zginęła w więzieniu.

Opr. OUT.



lat, a więc od dawna zdobyła sobie szeroki krąg zainteresowanych, którzy nie tylko czytają, ale zabierają chę-

INGMAR BERGMAN Co to znaczy "robić filmy"!

„Robienie filmów” jest dla mnie naturalną koniecznością, potrzebą dającą się porównać z pragnieniem lub głodem. Niektórzy chcą się wypowiedzieć pisząc książki, zdobywają góry, biją dzieci lub tańczą sambę. Ja wypowiadam się robiąc filmy.

Przyjrawszy się uważnie taśmie filmowej, stwierdzimy, że składa się ona z matych prostokątnych obrazków — na metr przypada ich 52 — oddzielonych od siebie pasem czerni. Na pierwszy rzut oka obrazki te zdają się być identyczne, ale wnikliwsza analiza odkrywa, że różnią się od siebie acz minimalnie. I kiedy aparat projekcyjny rzuci je na ekran tak, aby każdy z nich nie trwał dłużej niż 1/24 sekundy otrzymujemy złudzenie ruchu. Kiedy miałem 10 lat uważałem moją pierwszą latarnię magiczną i wyświetlane przez nią obrazki za zjawisko tajemnicze i podniecające.

I dziś jeszcze odczuwam dziwny dreszcz na myśl, że właściwie jestem iluzjonista, ponieważ kino istnieje tylko dzięki niedoskonałości oka ludzkiego, które nie potrafi postrzegać osobno, szybko po sobie następujących i zasadniczo podobnych do siebie obrazków.

Realizując film staje się więc winny oszustwa, posługuje się aparatem skonstruowanym na zasadzie fizycznej niedoskonałości człowieka, aparatem dzięki któremu mogą kazać publiczności śmiać się, krzyknąć z trwogi, uśmiechać się, wierzyć w legendy, oburzać się, entuzjazmować, kłaść lub ziewać. Jestem więc albo oszustem — albo w przypadku gdy publiczność zdaje sobie sprawę z oszustwa — iluzjonista. Zatem wprowadzam ludzi w błąd, dysponując najcenniejszym i najbardziej zadziwiającym z magicznych przyrządów jakie kiedykolwiek znajdowały się w rękach szariatana. Tętu tu lub przynajmniej winno tkwić dla tych wszystkich, którzy tworzą i eksploatają filmy źródło nie dającego się

Jeśli zrealizuje 2 lub 3 filmy, które zrobią kłopot finansowy, producent, zupełnie słusznie, odmówi mi kredytu zaufania. Wtedy nagłe, stanę się osobliwie podejrzany, manotrawcą i będę miał dużo czasu do zastanawiania się nad wartością moich artystycznych talentów. Iluzjonista zostanie pozbawiony swego magicznego instrumentu.

Kiedy byłem młody nie odczuwałem żadnych obaw. Praca stanowiła dla mnie podniecającą zabawę i niezależnie od rezultatu cieszyłem się z moich dzieł tak jak dziecko swymi piaskowymi zamkami. Ekwilibrysta tańczył na linie, nieświadomy a więc i nie lekający się przepaści jaka pod nim ziała.

Dzisiaj jest inaczej. Zabawa zmieniła się w gorzką walkę. Taniec na linie odbywa się teraz z pełną świadomością niebezpieczeństwa. Każde dzieło mobilizuje cały zapas energii. Tworzenie stało się, tak pod wpływem przyczyn zewnętrznych jak i wewnętrznych obowiązkiem bardzo ciężkim i poważnym. Kłeska, nieprzychylny krytyk, chłód publiczności zostawiają dziś rany dotkliwsze, bardziej głębokie i trwałe.

Przed podjęciem jakiegokolwiek nowego dzieła, by zamaskować nurtujący go lęk, Jean Anouilh zwykł był mawiać: „Mój ojciec jest krawcem i cieszę go rzeczy, które robi: piękne spodnie lub elegancki płaszcz. To radość i zadowolenie rzemieślnika, duma człowieka, który zna swój fach”.

Ja też tak postępuję i powtarzam sobie:

„Moje filmy są dobrze zrobione. Jestem dokładny, sumienny, dbam o detale. Tworzę dla moich współczesnych a nie dla potomności. Moja duma jest dumą rzemieślnika”.

Ale wiem, że mówiąc tak oszukuję sam siebie i nie potrafię słumić niepokoju, który krzyży we mnie: „Czy zrobiłeś coś co może przetrwać? Czy jest w twoich filmach chociaż metr taśmy, godny przekazania potomności, chociaż jedna kwestia, jedna sytuacja, rzeczywistość i niezaprzecalnie prawdziwa?” I na to odpowiadam — być może niezupełnie szczerze — „Nie wiem, mam nadzieję”.

Wybaczenie, że tak długo i z tyloma komentarzami opisałem wam dylematy stojące przed twórcami filmowymi. Chciałem wam jednak wyjaśnić dlaczego tytuł spośród filmowców ulega pokusom, dlaczego lekamy się i tracimy serce do pracy, dlaczego pozwalamy się ogłupiać i łamać, idąc na uległość i kompromis. Chciałbym się jeszcze zatrzymać nad jednym z najtrudniejszych problemów: nad publicznością. Twórca filmowy pragnie tego samego co inni artyści: „Chcę jeszcze dziś odnieść sukcesy. Chcę być sławnym teraz. Chcę podobać się i wzruszać natchniami”.

Między tym pragnieniem a jego realizacją stoi publiczność, która uważa: „Place, żądam rozrywki, zapomnienia, ucieczki od trosk, pracy, bliźnich i siebie samego”.

granic jakie Wam wyznaczy publiczność i krytyka, granic których nie uznajecie i nie chcecie uznać. Z jednej strony odczuwam pokusę przystosowania się, zaspokajania wymagań publiczności, z drugiej zaś zdaję sobie sprawę, że oznaczałoby to koniec wszystkiego. A któż to powiedział, że nie należy rozrabiać, przełamywać granic, walczyć z wiatrakami, dać się porwać wizjom, igrać z ogniem albo rwać siebie lub innych na strzępy? Ale „robienie filmów” to także zabawy, marzenia, tajemne wspomnienia. Na początku często bywa obraz: twarz nagie oświetlona, ruch ręki, płac o świcie, stare kobiety na ławce. Innym razem są to słowa wypowiedziane niespodziewanie, tonem bardzo osobistym. Czasem nie widzę nawet twarzy mówiących, stoją tyłem, ale coś mnie do nich przykuwa, czekam na to co powiedzą. W ich głosie brzmie bowiem jakieś tajone napięcie, napięcie którego sobie jeszcze w pełni nie uświadamiam, a które działa jak ukryty filtr. Te migawkowe obrazy i banalne słowa wpadają jak złote rybki w moją sieć, lub też raczej ja sam daję się złapać w sieć, jeszcze mi nieznana.

Zanim te motywy wykrystalizują się całkowicie w moim umyśle, poddaję je próbie rzeczywistości. Igraszki wyobraźni, kruche i niepełne, kładę pod lupę, by osadzić je w punkcie widzenia technicznych możliwości naszych atelier. To ogólna próba żywotności pomysłu. Czy zachowa on swoją wartość i świeżość po przejściu przez mordercze w swej rutynie tryby maszyny produkcyjnej? Niektóre moje filmy dojrzewają szybko i ich realizacja trwa krótko. Wychodzą one naprzeciw jakiemś powszechnemu oczekiwaniu — dziełi wręcz niezdyscyplinowane, ale zdrowe, takie które są gwarancją żywotności rodziny.

Bywają i inne, które rodzą się powoli, z trudem, dojrzewają latami, nie pozwalając się zamknąć w jakis określony techniczny lub formalny kształt i wymykając się właściwie wszelkim konkretnym kształtom. Trwają w półcieniu. Jeśli chcą je odnaleźć, muszą je tropić, wyszukiwać konteksty, postacie, sytuacje.

Można się zgodzić co do tego, że „kręcenie filmu” oznacza zespół wszystkich działań koniecznych dla przeniesienia treści scenariusza na taśmę filmową. Mówi to dużo i mało zarazem. Dla mnie kręcenie filmu oznacza dni nieudolnego wyteżonej pracy, znużenie, oczy pełne łez, zapach szminki, potu i reflektorów, okresy napięcia i depresji, nie ustającą walkę między tym co się chce, a co się powinno, między wizją, a rzeczywistością, sumieniem i leniwością. Kojarzy się ze wstawianiem o świcie, bezsennymi nocami, z najbardziej dojmującym uczuciem życia, z jakimś gorączkowym fanatyzmem pracy, który sprawia, że w końcu sam staje się nieodłączną częścią taśmy, śmieśnię małym aparatem, którego jedyny defekt polega na tym, że musi jeść i pić.

waż dotyczą największego i najbardziej wyrafinowanego idiotyzmu — przeobrażenia marzeń w cienie, rozcinania tragedii na pięćset małych kawałków, bawienia się każdym z nich osobno, a potem klejenia z tego całości, która byłaby znów tragedią. Kręcić film oznacza właśnie to wszystko i jeszcze więcej i jeszcze trudniej.

Kiedy wracam pamięcią do czasów dzieciństwa wspominam latarnię magiczną — pierwszą w moim życiu czarodziejską paleczkę. To co mi się wówczas wydawało tak fascynujące, fascynuje mnie do dziś i w identyczny sposób. Myślę o tym czasami w studio albo w półmroku montażowni, gdy taśma przepływa mi między palcami lub w chwili owego niezwykłego porodu, kiedy to świeżo ukończony film odsłania powoli swe oblicze. Wierzę wówczas, że mam w ręku narzędzie o tak niezwykłej mocy, że można by dzięki niemu oświecić duszę ludzką światłem nowym i jasnym, odłonić ją jeszcze brutalniej, odkryć dla samej wiedzy nieznane dziedziny rzeczywistości. Być może, odnaleźlibyśmy nawet szczeliny, która pozwoliłaby nam przeniknąć w światłością nadrealności, opowiadać w sposób nowy i wstrząsający. Ryzykując twierdzenia, których nie mogę udowodnić, chciałbym powiedzieć, że moim zdaniem, my filmowcy wykorzystujemy tylko odrobinę straszliwej mocy, poruszamy tylko małym palcem obrzydła, obrzydła, który wcale nie jest tak łagodny i bezpieczny. Ale może się mylić. Może film osiągnął najwyższy stopień swego rozwoju, może niezdolny jest do podboju nowych ziem. Wielu tak myśli i faktem jest, że drepemy w miejscu, w grząskim bagnie, paraliżowani przez względy ekonomiczne, schematy, głupotę, strach, niepewność i chaos. Pytano mnie czasami do czego dążę w moich filmach, jaki jest cel mojej twórczości? Pytanie trudne i niebezpieczne. Dlatego odpowiem: „Siaram się powiedzieć prawdę o losie ludzkim, tak jak ją ja widzę”. Jak można nie zauważyć, że to bluff. Przecież prawdziwa odpowiedź winna brzmieć: „Odczuwam niepowstrzymaną potrzebę wypowiedzenia poprzez film tego co na sposób całkiem subiektywny kształtuje się gdzieś w mojej świadomości. A zatem celem do którego dążę jestem ja sam, mój chleb powszedni, zadowolenie i szacunek publiczności, prawda, którą w danym momencie uważam za słuszną”. Sens tej odpowiedzi nie jest pocieszający; „działalność bez większego znaczenia”. Ale nie powiem, żeby mnie to martwiło nadmiernie. Znajduję się bowiem w tej samej sytuacji co większość artystów mego pokolenia. Nasza działalność nie ma wielkiego sensu. Sztuka dla sztuki. Postaram się więc sprzeciwić moją postawie, inaczej formułując pytanie: „Jaki chciałbym mieć cel swojej twórczości?”

Mówią, że ongi katedra w Chartres trafiona piorunem, spłonęła doszczętnie. I z całego świata ściągnęli wówczas ludzie, architekci, robotnicy, artyści, kuglarze, rycerze, księża i mieszczanie aby odbudować spaloną katedrę. Imiona ich pozostały nieznane. I do dziś nie wiemy jak nazywali się ci co postawili katedrę w Chartres.

Niezależnie od moich poglądów na sprawę wiary (które tu zresztą w ogóle nie wchodzi w grę) sądzę, że sztuka straciła swoje żywotne znaczenie w chwili oderwania się od kultu. Wiedzie teraz żywot jałowy i zdegenerowany. Zbiorowość twórcza, pełna skromności anonimowości, została zapomniana, pogrzebana, odatę z wszelkiej wartości. Natomiast maleńkie ranki zadane własnemu „ja” i różnego rodzaju kolki moralne rozpatrywane są sub specie aeternitatis.

W rezultacie żyjemy w jakimś zaciarowanym, zamkniętym kręgu, rozprawiając na temat naszej samotności, nie słuchając się zresztą wzajemnie i nie spostrzegając nawet, że jak tak dalej pójdzie, to podusimy się wszyscy. W ten sposób indywidualności patrzą sobie w oczy, negują istnienie tych, których widzą i pozwalają się na wszechmożną potęgę ciemności, nie próbując ani razu doświadczyć zbawionego oddziaływania i siły wspólnoty. Jesteśmy tak zaplątani w to błędne koło i tak zamknięci w naszym niepokoju, że nie potrafimy już odróżnić prawdy od fałszu.

Na postawione wyżej pytanie, mógłbym tedy odpowiedzieć: „Chcę być jednym z artystów wnoszących katedrę na ruinie. Chcę wykuć w kamieniu lub smoka, anioła, diabła lub też świętego — to nieważne, albowiem radość moja będzie w każdym przypadku taka sama. Czy jestem wierzący czy nie, chrześcijanin czy poganin, pracuję razem z wszystkimi przy budowie katedry ponieważ jestem artystą i rzemieślnikiem i potrafię wyczarowywać z kamienia twarz i ciało. Nie lekam się sądu potomności lub współczesnych. Moje imię i nazwisko nie zostały nigdzie wyryte i znikną razem ze mną. Ale mała cząstka mego ja przetrwa w całości anonimowej i wspaniałej. Smok lub diabeł, a może święty — to już nieważne!”

Tłum. M. K.

TRAGEDIA PÓLSRODKÓW

W swojej książce poświęconej problemom masowej komunikacji Gilbert Seldes próbował określić zasadę, która kieruje się producentem kultury, gdy idzie o zaspokojenie potrzeb „wielkiego audytorium”. „Obowiązująca tendencja pisał — jest zbliżenie się do dolnej granicy skali wartości i wyłączenie wszystkiego co wyjątkowe, efekcie sztuka popularna daje tylko płaski i niepełny obraz życia, ale zachęca ponadto ludzi do ograniczania sfery swych wzruszeń i zainteresowań”.

Seldes miał wszelkie podstawy by martwić się o amerykańskie „wielkie audytorium”. Skomercjonalizowana prawie bez reszty telewizja w Stanach dawno przestała się interesować, czy emitowane programy zaspokajają upodobania odbiorców, tym bardziej daleka jest od wykorzystywania swego ogromnego przecięt zasięgu dla kształtowania owych upodobań. Osiłnieniem stacji nadawczej mierzą ilością godzin transmisji, wiadomo że aby utrzymać swą ekspozycję na pozycje wśród groźnej konkurencji nie można schodzić poniżej 20 godzin programu na dobę. Fakt jest, że telewizja na Zachodzie została zawojowana przez reklamę, „mydlane opery” filmy seryjne, że teatr telewizyjny pojawia się na ekranach kilkadziesiąt razy do roku ustępując miejsca grismom i kowbojom. Cały ten kłopot sprowadza się do genezy jego zarzutu, że telewizja przemija miernotę, że wiek techniczny brzydko się obszedł z kulturą, traktował ją jako zbytek, który publiczności nie można odmówić ale którym też za bardzo przejął się nie sposób.

Przy całym współzuciu, który żyjemy dla amerykańskiego telewizyjnego wypadu moim zdaniem: jasności sytuacji w jakiej znalazł. Postawiono go wobec różnych zarysowanego dylematu: bo raz na zawsze akceptuje kulturę „kuchennych schodów”, a raz na zawsze rezygnuje z odbicia w swoim mieszkaniu. I tym rozterki telewizyjne się bczą.

Inaczej u nas. Telewizja od początku wyznaczyła sobie powagę. Postanowiła nie tylko informować i bawić, ale również kształtować. Dostarczać doznania estetyczne i socjalnej jakości. Jeśli nie przekroczy, to co najmniej osiągnąć poziomu teatru i kina. Słowem, złaź do siebie patronat sztuki muzycznej. Ale ta podwójna rola, bilancowa wychowawczy i tryb sztuki okazała się trudna i odpowiedzialna. Nie można było, w postanowieniu twórców telewizji, jednocześnie wychowywać estetyczną windować sztukę na najwyższym poziomie. Z czegoś wypadło zrezygnować. Żeby zaś rezygnacja nie wyglądała na kapitulację, zdecydowano się na kompromis. Na kompromisie sztuki A-klasy ze sztuki B-klasy. Zdecydowano się na tożsamość półśrodków. W ten sposób my wprowadziliśmy telewizję, uważając przez znawców za jeden z najlepszych przejawów tej gałęzi sztuki w Europie, ale za to telewizja nasza skrzętnie stara się o by poza wyznaczonej sobie wartości nie wychodzić, by w niej nie stać na brzegu, skąd wpatruje daleko już od skrajnego, czu, ale równie chyba daleko tego, co określa się mianem dalszszuki.

Rezygnacja z wartości na komunikatywności programu w łowie tylko tłumaczy zgodę, przyjęcie zasady półśrodków, reszta bierze oczywiście początek z owego przekonania, że sztuka masowa potrzebuje sztuki szeroko dostępnej. Ale tym sposobem odmany schemat widowiska teatralnego, filmu, reportażu, rewii, schematem niezmiernie zaradliwym. Zazajają się nim sami twórcy i matów. Przeszają w końcu odnieć swoje własne zapotrzebowanie i zapotrzebowania społeczeństwa, które sami określili. Wystarczy stereotyp estetyczny, który dotychczas uważali za przejściowy, zaczyna się stagnacja w dziedzinie upodobań, zastój w polowie do celu, zwycięstwa półśrodków.

Nie trzeba daleko sięgać po przykłady. Wystarczy prześledzić o by pozycje reżyserskie warszawskiego jednego z najlepszych naszych autorów telewizyjnych Jerzego Anka: „Ojciec Gorio!”, „Spadł”, „Sześciu chwały”, Seghers, Willi Borchert, Feydeau.

Nie ma w telewizji miejsc eksperymen. Dzielnie nie pój do telewizji słowa awangardziste, kusi, by żartobliwie podsunąć muś na próbę termin antytelevizyjny z g



Scena z filmu „Tam gdzie rosną poziomki”

rozwiązać konfliktu moralnego. Utrata równowagi ma dla realizatora filmowego podobną a kto wie czy nie gorszą konsekwencję niż dla tancerza na linie lub akrobata cyrkowego. Dla realizatora i dla ekwilibrysty, ryzyko jest identyczne — można spaść i zabić się. Myślicie, że to przesada, że realizowanie filmów nie jest wcale takie niebezpieczne. A jednak! Nawet jeśli ma się w sobie coś z czarodzieja, nie można zacząć prowadzić producentów, dyrektorów banku, właścicieli kin, krytyków, wtedy gdy publiczność nie chce pójść do kina i dać na ofiarę grosz z którego oni wszyscy żyją. Doświadczyłem tego na własnej skórze. Pewien odważny producent zainwestował pieniądze w mój film „Wieczór kuglarzy”, który krytyka przyjęła nieprzychylnie a publiczność zignorowała. Producent poniósł straty a ja musiałem dosyć długo czekać zanim pozwolono mi kręcić następny.

Realizator, który wie o tym i żyje z pieniędzy teje publiczności znajduje się w sytuacji bardzo trudnej. Robiąc film, musi nieustannie uwzględniać reakcje publiczności. Sam zadaje sobie ciągłe pytanie: „Czy mogę się wyrazić prościej, jaśniej, krócej? Czy każdy zrozumie co chcę powiedzieć? I sprawa najważniejsza — jak daleko mam prawo posunąć się na drodze kompromisu i gdzie zaczynają się moje obowiązki wobec siebie samego?”

Wszelkie eksperymentowanie jest ryzykowne bo oddala od publiczności a to prowadzi do wyjąłowania i izolacji.

Zatwierdzenie pogorszyć samopoczucie widza niż je polepszyć, a przeciwnie właśnie tego szuka on w ciemnościach sali kinowej. Ile razy i jakimi środkami zaspokajamy jego potrzeby? Wiem, że są to rozwiązania niebezpieczne. Prowadzą bowiem do potępienia wszystkich własnych niepowodzeń, do uznania za absolutne

Ale nie myślcie, że realizacja filmu równoznaczna jest z chaosem, ze stanem mistycznej ekstazy i żywotowego podniecenia. Kręcić film znaczy utarzać dzika i cenna bestie, wyrachowanym i dokładnym. Mied zawsze dużo humoru i cierpliwości nie z tej ziemi. Kręcić film znaczy zorganizować cały świat, na który składają się przemysł, pieniądze, produkcja, zdjęcia, wywoływanie i kopiowanie, plan pracy rzadko przestrzegany, plan kampanii w której czynniki nieprzewidziane i irracjonalne największą odgrywają rolę. Maquillage gwiazdy okazał się niedobry — kręcimy od nowa. Woda miała za dużo chloru, negatywy nie nadają się więc do użytku — kręcimy od nowa. Burza, nawalił transformator, uszmiłkownik aktorzy czekają godzinami, a czas płynie i razem z nim — pieniądze.

Przykłady idiotyczne, przypadkowe. Ale nie mogą być inne, ponie-

STANISŁAW KASZYŃSKI AKTORZY- ACH AKTORZY

Przekonanie, dawniej poważane i oczywiste, że aktor jest pierwszą wielkością teatru, straciło w naszych czasach na znaczeniu, jakkolwiek nikt nie kwestionuje tej świętej oczywistości. Coraz większa rola inscenizatora i reżysera w nowoczesnym teatrze, teoria zespołowej gry oraz równomiernego udziału wielu twórców spektaklu, wreszcie nie najlepsze tradycje „gwiazdorstwa” sprawiły pospolo, iż niechętnie przyznaje się nadrzędność aktora. Być może wreszcie, że rasa wielkich aktorów jest już w stanie zaniku i w tej pustce musiał ktoś przejąć rolę prowadząca.

Teatr naszego kręgu kulturowego posiada zbyt bogatą i długą historię, żeby nie można z niej wysnuć podstawowej zasady, tworzącej i organizującej to ośniewające złudzenie, jakie przeżywamy na widowni każdego wieczoru. Odbywa się to za sprawą człowieka-aktora. Co najmniej od czasów greckich, kiedy pierwszy aktor stanął naprzeciw chóru i wdał się z nim w dialog, dokonano się za pośrednictwem aktora przeniesienie odwiecznych pragnień i marzeń ludzkich w rytuał słów, gestów i mimiki. Ten rytuał, wywodzący się z obrzędu a jednocześnie z przyrodzonej potrzeby gry, miał z punktu, tuż u zarania, charakter magiczny. Człowiek-aktor pragnął w dusze i serca słuchającego go tłumy przekazać jakieś prawdy albo przynajmniej utrwalić w nim przekonanie o ich istnieniu. W każdym razie był to sprzeciw wobec życia, wyobrażenie, że życie może być inne i jest w istocie inne.

Najpierw teatr objawiał losy ludzkie uzależnione od woli — dobrej lub złej — bogów. Chrześcijaństwo nie zrezygnowało z tego związku, przyporządkowując jedynie człowieka jedynej oparciu. Renesans natomiast uczynił z niego ośrodek świata, przeciwstawiając mu, jakby określił Ariad, poza — ludzkie, ale przysiadając mu zarazem wiare, że kiedyś rzuci to „obce” do swoich stóp i ujarzmi je. Na tę miarę są skrojone postacie Szekspira. Przechodząc z biegiem dzieł przez swoje rozmaite wieleństwa, człowiek w sztuce usunął wreszcie Boga i został sam z sobą, w samotnym zmaganiu się z przeszłością i przyszłością, z czasem i przestrzenią.

Sledząc dzieje dramatu, widzimy dokładnie ten proces ograniczania człowieka, odchylanie coraz głębszych warstw i odrzucanie coraz to innych maszek, by pozostać w końcu przy ostatniej masce, która jest jego przyrodzoną maską: homo ludens, człowiek zabawy, gry. Zdaniem holenderskiego filozofa Huizingi, nie istnieje prawdziwa cywilizacja bez „exynnika zabawy”, nie może więc istnieć bez teatru, w którym element gry jest elementem pierwszym, podstawowym — bardzo ludzkim, który obejmuje radość i ból.

Wydaje się, iż niepowodzenie u publiczności tzw. nowoczesnego dramatu (a i teatru) polega na tym, że pokazując ograniczonego człowieka pozbawili go zasadniczych emocji, skazując go jedynie na beznadzieję i lęk. A jednak, dzięki autorowi, nawet tak okrojone osobowości nabierają pełniejszego wymiaru. Co wieczór obujemy z nim z odległości kilkunastu metrów, możemy usłyszeć jego puls, wibracje nerwów, jego fizyczność.

Jeśli zgodzimy się, iż teatr jest taką zabawą pyszną przemianą, i że aktor jako człowiek najlepiej potrafi ją oddać, to nie będziemy podważać jego autentycznej wielkości.

Zejdźmy na łódzką ziemię. Na tej ziemi teatralnej przyzwyczailiśmy się, bezwiednie często, uznawać i chwalić tylko te przedstawienia, w których błyskały talent i pasja inscenizatora. Robił je Leon Schiller, przyrządzał je z temperamentem Kazimierz Dejmek. Nie zgadzam się z opiniami, które wypominają tym twórcom niedocenienie aktora; nikt przecież nie zdoła go pozbawić arcyważkiej pozycji. Przyszanje natomiast, że sama metoda kompozycyj przedstawienia uszczuplała jego przywileje. Teraz, w 1964 roku, sytuacja uległa zmianie. Nie mamy już tych rang, nawet na horyzoncie nie widać podobnych wielkości. Inne czasy: zauważmy, że tzw. spektakle inscenizatorskie nabierały jeszcze większego znaczenia, ponieważ z dziwną prawidłowością łączyły się z chwilami historycznych napięć czy przełomów.

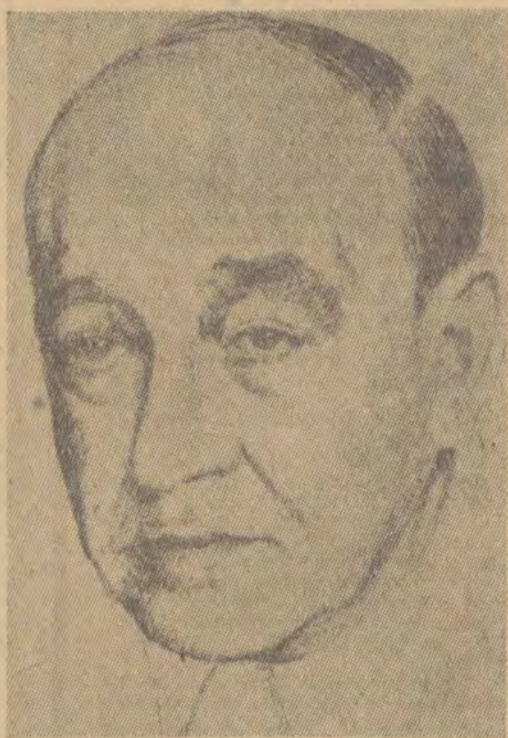
Cóż więc wypadła czynić obecnie, w okresie, jak mówi poeta, „naszej malej stabilizacji”?

Zawierzyć aktorom. Na nich budować śmiało teatr. Niech ich rzeczywiste umiejętności i talenty (bez taryfy ulgowej i protekcyjnych wyznaczników obsad) decydują o wyborze repertuaru, a nie wydumane pod zastępnym domowo — sielskim światłem lampy pomysły reżyserów. Choćby Łódź nie od dziś jest wygodną trampoliną dla ku-warszawskich skoczków, została jeszcze spora gromadka łęczy teatralników. Zresztą — na marginesie — z „miedzyetapowego” charakteru naszego teatru płynie satysfakcja: oni tu dojrzejają, tu afirmuje ich publiczność, tu też zdobywają szlify ogólnopolskie. Odszedł wprawdzie Machowski, Baer, ale jest Łapa, Kipiński wigorem urzekającego komizmu, egzemplarz pogodnych żywiołów zabawy, jest Urszula Modrzyńska, nie wyniosła królowa angielska, lecz zniewalająca dziewczyna, mogąca się przysięć i starszym panom, i paskującym gimnazjalistom, jest Tadeusz Sabara, oschły, intelektualizowany, nerwowiec, któremu autor „Golema” zawdzięcza powodzenie sztuki. Jest Marian Nowicki, grand-seigneur, punktujący postacie przez sarkazm i dysjans, jest Bogusław Sochnacki, soczysta kancelarstwo, wpisująca mi się natrętnie w prozę Andrzeja Brychta, jest Aleksander Pogiel, rubaszny i jowialny (takich coraz mniej). Czy demoniczny, faustowy Jerzy Przybylski, albo Krzysztof Chamiec, czy Wanda Chwałkowska, wdzięk — naiwność, trzplotowość, albo chłopakowato — stylowa o zacięciu charakterystycznym Krystyna Feldman, która dłużej znacznie niż jej wielki ojciec dostrzymuje wierność Łodzi.

Nielatwo wyliczyć, co składa się, zważywszy nadwrażliwość aktorów, na przychylnie obojętne. Pomijając to, że nie są jeszcze w... Warszawie — mogłem się przekonać, że poza Zembrzydowicami wciąż bardzo głucho i o tych największych — uwiera bodaj wszystkich cierpić pozornej chyba niezyczliwość pismaków. Zapominają, że uznaniem rozporządza tylko publiczność, a słowa, jak my, piszący, możemy ufundować jest złudzeniem. Najważniejsze, żeby wygrać się do syta, żeby grać dobrze. Grać często. Bogumił Dawison, znakomity aktor polsko-niemiecki z ub. wieku, był nad miarę szczęśliwy, mogąc grać często i to w mizernych teatrach prowincjonalnych; Bo rolę miała po opuszczeniu Łodzi fenomenalnie zapowiadająca się jako tragiczka Alicja Raciszówna? Grać dobrze: od debiutantów i mistrzów żądał trzeba doskonałości rzemiosła, większej sprawności ciała, nienagannej dykcji i wyzbycia się przejęzyczeń.

Doskonałość aktora jest warunkiem zabawy, czyli doskonałego teatru. O, zapoznani mali prowincjusze! Zyczymy sobie wzajemnie świetnej zabawy, oglądając świetne role z dala od cizby i trąb. Reszta jest mniej ważna.

WOKÓŁ „CJANKALI”



Leon Schiller

„Sezon 1929—1930 w Teatrze Miejskim w Łodzi — to rozkwit teatru politycznego” — napisał LEON SCHILLER w swoim zyciorysie. Zyciorys ów powstał w 1946 roku i pisany był w trzeciej osobie. — „Karol Adwentowicz, ówczesny dyrektor teatru łódzkiego, go dał Schillerowi zupełną swobodę wyboru sztuk i ich reżyserskie go ujęcia. Wystawione w tym okresie widowiska porównają widownię łódzką swą aktualnością, rewolucyjną ideologią, zdecydowanie opowiadającą się za „proletariatem walczącym”.

Były to: „Amerykański melodramat wojenny „Rywale”, „Dziełny wojak Szwejk” Haska, „Przestępcy” Brücknera, oraz „Cjankali” re portaż sceniczny niemieckiego komunisty Fryderyka Wolfa poświęc cony regulacji urodzin”.

KAROL ADWENTOWICZ w swoich „Wspominkach” pisał o Cjankali: „Tam, gdzie w suterenie, w jednej piwnicy-pokoju, mie ści się wiele osób, nie można mi słońce o stworzeniu prawdziwej rodzin... młoda matka w ciąży już drży z lęku na myśl, czym wykar mi trzecie czy czwarte dziecko. Jedyna droga to droga do akuszer ki, by przerwać ciążę i nie dopuścić do życia, gdzie nie ma na życie.”

Ten bolesny problem poruszał Boy-Zeleński w licznych publikacjach, żądając dla ciężarnych matek prawa przerwania ciąży, gdyż — póki panuje nędza i wyzysk — matka ma prawo ratować się bie i nienarodzone dziecko od gło dowej śmierci. Z tą samą tezą wystąpił Fryderyk Wolf pisząc „Cjankali”, historię wstrząsającą wymową i realizmem.

Ale z jednej strony była (w teatrze) przepelniona widownia i lzy wzruszenia, z drugiej — kasty i lżawiące gazy, cały teatr otoczony policją...

Było to przedstawienie podane w inscenizacji i reżyserii Leona Schillera. Z drugą stroną prawdą i realizmem. Wykonanie stało na wysokim artystycznym poziomie, tak wybitne talenty jak Dąbrowska, Grywińska, Horecka, Morska, Michał Znicz mogli w tej bo jowej, rewolucyjnej sztuce wypo wiedzieć się w pełni... „Cjankali” — dodaje na innym miejscu Adwentowicz — odbiło się głośnym echem w Polsce i wywołało zacie kłą walkę w prasie”.

Tak było rzeczywiście. Wzmian ki, małe artykuły, o tym spektaklu, który stał się pamiętną kartą w historii polskiego teatru można i dziś odszukać na pożółkłych kar tach ówczesnych gazet i pism o różnej orientacji politycznej. Jaskrawa czerwienią wielkich liter donosiła 20 stycznia 1930 roku pra wicowa łódzka „Republika”: „Awantura w teatrze łódzkim. Wro ga manifestacja przeciw wysta wieniu „Cjankali” — gazy lżawiące na widowni. — Publiczność pa nicznie cisnie się do wyjść. — Pięć osób zatrzymanych. — Przed stawienie skończono pod ochroną policji”. Tyle tytuł, dalej następu je szczegółowy opis zajść: „kiedy Znicz w roli gazeciarza stanął przy rampie i począł śpiewać swą piosenkę, na amfiteatrze i na gale rii rozległy się szmery, wzmagające się z każdą chwilą... Wtem z góry padł na widownię gromki

okrzyk: precz z bolszewią na sce nie! W teatrze powstał tumult. Artysty na scenie stanęli bezradnie, nie wiedząc co czynić. Wra żenie spotęgował brzęk tłuczonego szkła. W tej samej chwili po całej widowni rozniosła się przykra woń jakiegoś gazu. Z galerii ciągle jeszcze padały okrzyki: Precz z brudami na scenie! Precz z „Cjankali”! Precz z Adwentowiczem!

Na widowni powstał nieopisany poploch...”

Sprawcami zajścia okazało się pięciu młodych ludzi ze sfer drob nomieszczańskich, których „po wy legitymowaniu” i spisaniu protokołu za zakłócenie spokoju publicz nego wypuszczono na wolność...”

W dalszych swoich numerach „Republika” atakuje politykę repertuarową i personalną Adwentowicza (jednak nie z handlowego punktu widzenia, gdyż jednocześnie zamieszcza na swych łamach anons „Cjankali”. Ceny najniższej) w felietonach teatralnych sygnowanych literkami r. k.: 26. I. 30 podaje „Dwie pogłoski”, że „pan Adwentowicz stracił już ochotę do Łodzi i że tęskni znów do Warszawy, gdzie wraz z panem Szyllerem mieliby utworzyć coś w rodzaju teatru eksperymentalnego... Doskonały pomysły Pan Adwentowicz z p. Szyllerem powinni jak najrychlej przenieść się do stolicy. W tło teatrowych zmieści się tam i teatr tego rodzaju i smaku”.

29. I. 30 „Teatr udręczeń”: „...p. Adwentowicz chce nas przestraszyć i przerazić. Dobiera sztuki o wybitnie zbrodniczej treści, a ostatnio już sięga do arsenału takich wymyślności, jak śmierć wsku tek nieudanego samozabiegaku akuszerzyjnego... Dużo jest w tym i winy p. Szyllera będącego najbliższym doradcą obecnej dyrekcji teatralnej”.

31. I. 30 „Dalekie dusery” (w związku z entuzjastyczną recenzją z „Rywal” w warszawskich „Wiadomościach Literackich”): „życzy my p. Adwentowiczowi najlepszych stosunków z przyjaciółmi z prasy warszawskiej wtędy, kiedy nareście przeniesie się i on do Warszawy”.

R. Judym w tychże „Wiadomościach Literackich” pisał 16. II. 1930 r. w artykule zatytułowanym „Teatr społeczny w Łodzi”: „sprawa legalizacji poronień... temat wiszący w powietrzu, niepokojący su mienia nawet najbardziej zatabaczonych prawników i lekarzy, spotkał się z żywiołowym zainteresowa niem całej Łodzi, gdy tylko pojawiły się pierwsze afisze teatralne zapowiadające, że do walki z przeżytkami kodeksu, zabobonami religijnymi i hipokryzją moralną sta je małe teatr przy ul. Cegielnia nej! W dniu premiery „Cjankali” po raz pierwszy w Polsce zrozumiano nowe zadania wychowawcze teatru i nawiązano bezpośredni kontakt z widownią.

Z inicjatywy dyrekcji teatru na szereg dni przed premierą odbył się wieczór dyskusyjny na temat legalizacji poronień w świetle gzi siejszej wiedzy prawniczej, lekarskiej i społecznej. Dyskusja trwała kilka godzin.

Konferencja zarządów łódzkich Związków Zawodowych odbyła 30

stycznia br. jednogłośnie postanowiła: 1. wyrazić dyrektorowi Teatru Miejskiego p. Adwentowiczowi i reżyserowi p. Schillerowi oraz artystom biorącym udział w wystawionej sztuce słowa najwyższe go uznania i podzięk za wystawienie i pracę nad „Cjankali”, 2. potępić dzikie metody walki uprawiane przez pewną część widowni i prasy, 3. zwrócić się do magistratu i komisji teatralnej, aby nie daly się sterroryzować protestami przeciw wystawieniu „Cjankali”.

R. Judym — jak podaje Stanisław Kaszyński w swojej cennej pracy pt. „Teatr Miejski w Łodzi za dyrekcji Karola Adwentowicza (1929—1930)”, Zeszyty Naukowe UL — to sam Leon Schiller. Stąd właśnie ten tytuł artykułu: „Teatr społeczny w Łodzi”.

Schiller — cytując Kaszyńskiego — odczytując wiernie tekst („Cjankali”), nie zawahał się uwypuklić w scenarii, w realiach i grze aktorskiej szokująco jaskrawych elementów naturalistycznych (...) świadomie wywoływał iluzję brutalizmu i ohyd. Dlatego też inscenizacja ta budziła u pewnej części opinii publicznej i krytyki sprzeciw z powodów czysto estetycznych”.

Ponieważ jednak „teatr dotknął bolesnych zagadnień społecznych”, na widowni obok gazów lżawiących pojawił się entuzjazm — „ubogie wieńce z czerwonymi wstęgami i za kulisami uściski rąk”.

Z aktorów biorących udział w spektaklach sztuki Wolfa jedni nie żyją, inni wyemigrowali już dawno do innych miast. Mieszka jednak w Łodzi i nadal występuje jedna z ówczesnych aktorek Teatru Miejskiego, WANDA JAKUBIŃSKA, która poprzez męża, asystenta Schillera przy pracy nad „Cjankali” (sama była wówczas chora), p. Maksymiliana Jerzego Szackiego, otrzymała dokładne wiadomości „z frontu”.

„Cjankali” — wspomina — był to „porun z jasnego nieba”, na co zresztą aktorzy byli przygotowani, mieli jednak pełne zaufanie do Schillera. On nie robił sensacji ale sztuki politycznej, co natychmiast zrozumiała endecja, reagując zdecydowanie: szybko zabroniono grać sztukę. Ale zanim to nastąpiło, w odpowiedzi na bojkot, Adwentowicz kazał porzucić w mieście zawiadomienia, reagując zdecydowanie: szybko zabroniono grać sztukę. Ale zanim to nastąpiło, w odpowiedzi na bojkot, Adwentowicz kazał porzucić w mieście zawiadomienia, reagując zdecydowanie: szybko zabroniono grać sztukę. Ale zanim to nastąpiło, w odpowiedzi na bojkot, Adwentowicz kazał porzucić w mieście zawiadomienia, reagując zdecydowanie: szybko zabroniono grać sztukę.

Dorastającym córkom — dodaje łódzki poeta p. Antoni Kaspro wicz — zabroniono oglądania tej sztuki. Wspaniała reżyseria Schillera pogłębiała jeszcze wrażenie. Byłem wówczas bardzo, bardzo młody, ale po obejrzeniu spektaklu poczułem się wstrząśnięty i pełen podziwu dla odwagi aktorów. Wszyscy „lewicujący” młodzieńcy uważali za swój obowiązek uczestniczenie w tym akcie. Pierwszym naszym pytaniem przy powitaniu było: czy widziałeś już „Cjankali”?

Tak więc 34 lata temu w Łodzi udało się Schillerowi, jak sam o tym wspomina, osiągnąć mimo wszystko cel, stworzyć „bodaj na jednym odcinku teatru, będący wyrazem nurtów rewolucyjnych przebiegających przez masę”. Teatr społeczny, teatr polityczny.

Zebrała:
KRYSZYNA WOJTASIK



Rys. J. Wiktorowski

POEZJA ODRODZONA

Kiedy niedawno w łódzkim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki mówili o współczesnej poezji rosyjskiej, z sali padło kilka pytań, które świadczyły o istniejących wśród czytelników nieuzasadnionych uprzedzeniach do tej poezji, o pewnych mitach, które nie rozwiewane przynoszą szkody, nie mówią o tym, że świadczą nie tylko o nieporozumieniach, ale po prostu o nieznajomości poezji rosyjskiej, a przede wszystkim warunków, podłoża, na jakich ona się rozwija. Jeśli na przykład ktoś z sali zadał mi pytanie, czy Jewtuszenko jest w tej chwili na zesłaniu, to Bóg z nim – takie pytanie mógł zadać tylko całkowicie ignorant. Natomiast, gdy ktoś inny zapytał, czy to wszystko, co piszą młodzi poeci, Wozniesiński, Jewtuszenko i inni, jest w ogóle poezją – to do tego pytania trzeba się odnieść poważnie i nie pomagać tu takie czy inne doraźne wyjaśnienia, jest to symptom, że o tych sprawach trzeba mówić częściej i dokładniej informować, co się aktualnie dzieje w Związku Radzieckim w dziedzinie literatury.

Chodzi o to, że nie wystarczy mówić o twórczości poszczególnych poetów w oderwaniu od całokształtu ruchu literackiego w Związku Radzieckim, jak to się najczęściej robi. Elementy stylu, faktura, a nawet tematyka danego twórcy są przecież wynikiem procesów bardziej ogólnych i dopiero rozeznanie w tych procesach daje nam możliwość właściwej oceny twórczości interesującego nas pisarza. To podstawowe założenie, istotne przecież nie tylko dla literatury ZSRR, w tym wypadku jest szczególnie ważne, w literaturze tej bowiem w ostatnich latach zaszły bardzo poważne zmiany, w których nie wszyscy, jak widzimy, się orientują.

Chcę tu kilka słów powiedzieć o poezji rosyjskiej, bo właśnie poezji dotyczyły owe pytania w łódzkim Klubie MPIK, zresztą poezja, jak zawsze, jest najlepszym sejsmografem, utraceniającym je w sposób najbardziej ewidentny.

Po XX Zjeździe, gdy powstały możliwości pełnej wypowiedzi poetyckiej, poezja rosyjska przemówiła pełnym głosem, wystąpiła zarówno twórcy starsi jak i młodzi, debiutujący już w znaczenie bardziej sprzyjających warunkach, niż dotąd, w okresie, gdy niemal wszechwładnie panowała poezja bezkonfliktowa, czystokrotno panegryficzna, pozbawiona wyrazu, bo niemal ujednolicona stylistycznie. Nie należy jednakże zapominać, że nawet ów okres obowiązuje poetyki normalnej nie był jednolity, że między innymi zryw patriotyczny w latach wojny z najazdem hitlerowskim, dał w efekcie poezję żywą, autentyczną, która zdołała przełamać sztywne ramy z góry zakreślonych granic wypowiedzi poetyckich. To zastrzeżenie jest konieczne dla zrozumienia z

jednej strony istoty przemian, jakie zaszły w poezji rosyjskiej w ostatnich latach, z drugiej – faktu, że przemiany te nie były bynajmniej wynikiem zerwania naturalnych więzi z poezją przeszłości, a są one jedynie wyrazem tych głębokich przemian w sposobie myślenia i odczuwania, jakie zaszły w latach ostatnich w społeczeństwie radzieckim w wyniku likwidacji stalinizmu.

Oczywiście, znacznie dobitniejszy wyraz znalazły te przemiany w twórczości młodych, co jest przecież faktem naturalnym i całkowicie zrozumiałym. Nawiasem mówiąc, tym określeniem objęci są w Rosji poeci dość zaawansowani wiekiem, często czterdziestoletni, którzy debiutowali stosunkowo późno z powodu utrudnionych warunków startu poetyckiego.

Do takich poetów o opóźnionym starcie należy przede wszystkim Eugeniusz Winokurov. Jest to urodzony liryk. Poezja jego głęboko refleksyjna, opanowana, pełna spokoju i zastanowienia, wyzbyta jest wszelkich zewnętrznych efektów, tak właściwych młodszym jego kolegom, Winokurov, zastanawiający się nad istotą i celem życia, często obracający się na pograniczu filozofii, jest poeta, dla którego najbardziej istotne znaczenie mają zagadnienia etyczne – i ta właśnie pryncypialność w stawianiu problemów, nieulekłe spojrzenie, niechęć do upraszczania trudnych zagadnień, co krok narzucanych przez życie, sławia go w rzędzie poetów, którzy zerwali z jakakolwiek szablonowością, z bezkonfliktową poezją doby ubiegłej. Nie na próżno Winokurov w jednym ze swoich wierszy pisze:

Nietrudno kleść prymitywne raje.
Wystarczy się odgrozić

Bieli się je, pozłocił suto daje –
Do samej śmierci masz ciche

Jak dom przytulne. Jak bunkier
Głuche jak loch. Ale do szczęścia

Lecz runie dach przy pierwszym
I znowu nocne nad tobą ciemności...

Lęk przed „pozłotką” w poezji każe Winokurovowi unikać wszelkich ozdóbek, posługiwać się formą najprostszą, tradycyjną. Innowacje Winokurova dotyczą wyłączenia zmiany tematyki, śmielszego poruszania dotychczas pomijanej problematyki codzienności życia codziennego i dlatego poważne znaczenie tej twórczości, jej rola w pewnym sensie przełomowa, trudniej jest dla nas z zewnątrz dostrzegać.

Znaczenie bardziej uchwytne, bądź poprzez jakiegokolwiek próby poszukiwania formalnych, bądź też dzięki aktualności podejmowanej problematy-

ty, są w swych najbardziej jaskrawych efektach próby nowych wypowiedzi poetyckich dwóch poetów, którzy największy w ostatnich latach osiągnęli rozgłos: mam tu na myśli Andrzeja Wozniesińskiego i Eugeniusza Jewtuszenkę.

Nieporozumienia wokół ich twórczości trwają po dziś dzień – przyczyna tych nieporozumień, moim zdaniem, polega na odczytywaniu tej poezji właśnie w oderwaniu od warunków, na jakich powstawała, od podłoża, na jakim się rodziła. Nie zapominajmy, że młodzi poeci przychodzący do głosu w okresie XX Zjazdu, trudną mieli przed sobą drogę. Przede wszystkim, zrywając z kanonami poezji deklaratywnej, musieli szukać innych wzorców stylistycznych. Oczywiście najbardziej naturalne było sięgnięcie i nawiązanie do poezji lat ubiegłych, poezja bowiem wymaga pewnej ciągłości tradycji. Najprostsze i najbardziej naturalne po okresie odwołania się do tradycji XIX wieku było sięgnięcie do przerwanej linii rozwojowej poezji lat dwudziestych i do tych poetów jeszcze żyjących, których twórczość z tej właśnie linii się wywodziła. Ale okres ten cechowała wielka rozmałość stylów i szkół i ważne jest, co z tamtej poezji przeniknęło do twórczości młodych, na czym się oparli w swoich poszukiwaniach, gdzie szukała rezonatora, aby w przyszłości przemówić własnym głosem.

I oto jesteśmy świadkami zjawiska dość dziwnego, a przecież uzasadnionego bardzo specyficzną sytuacją tych młodych poetów. Gorączkowo poszukując formy wypowiedzi zdradzają oni niezwykły eklektyzm przy czym cechuje ich zbyt wielka rozpiętość wzorców – od Bloka poprzez akmeistów i futurystów do Borysa Pasternaka, którego niewątpliwie poważny wpływ, zresztą dość powierzchowny, bo sprowadzający się raczej do chwytów formalnych, daje się zaobserwować nie tylko u Jewtuszenki i Wozniesińskiego, lecz przede wszystkim u zdolnej, młodej poetki Belli Achmadulliny.

Poszukiwania własnego wyrazu w poezji idą u młodych poetów rosyjskich dwutorowo – jedni, jak to widać już na przykładzie Winokurova, idą w kierunku poszukiwań nowych treści, inni, a dotyczy to zwłaszcza Wozniesińskiego – szukają rozwiązań formalnych. Oczywiście to, co w tej chwili powiedziałem, jest dużym uproszczeniem, w praktyce poetyckiej chodzi przecież o główny kierunek poszukiwań.

Tak więc niemal odkryciem Jewtuszenki było ukazanie w poezji codziennych trosk małych ludzi. Opowiadał on o troskach i zawodach swoich rówieśników, o przemianach obyczajowości, wśród ustawicznych ataków na młodzież, zapewniał o jej wysokim poziomie moralnym – i to stworzyło mu niesłychane u młodzieży powodzenie. Stał się on niejako kronikarzem nowej formacji obyczajowej, młodzieży radzieckiej, co mimo dydaktycznych założeń jego poezji, a może właśnie dzięki tym założeniom – przesyłało o jego niesłychanym rozgłosie.

Poezja Jewtuszenki nie sprowadza się jednak tylko do tzw. „małego realizmu”. W wierszach lirycznych, w których mówi on bezpośrednio o sobie, jeszcze wyraźniej ujawniają się inne, charakterystyczne dla współczesnej młodzieży reakcje uczuciowe, a przede wszystkim poszukiwanie moralnych podstaw w stosunkach pomiędzy ludźmi. Jewtuszenko, który umie doskonale wyrazić nastroje chwili, zasłynął w

ostatnich latach wierszami publicystycznymi, pozbawionymi na ogół walorów poetyckich, ale niesłychanie odpowiadającymi aktualnym nastrojom chwili, aktualnej sytuacji politycznej i społecznej.

Nieco inny, równie jednak jak Jewtuszenko, charakterystyczny dla nowej poezji rosyjskiej, jest Andrzej Wozniesiński. I on również, podobnie jak Jewtuszenko, uprawiał „mały realizm”, pisał wiersze obyczajowe, poświęcone ludzkiej małym, ludzkiej ulicy, pojęjmy tematycznie młodzieżową, komсомolską, z całym jej dzisiejszym skomplikowaniem. Ale jeśli niekiedy obrazy u Jewtuszenki rozpięły się w anemicznej deklaracyjności, to Wozniesiński zobaczył świat rzeczy i świat żywych uczuć, zamiast panujących dotąd wszechwładnie w wierszu oświeczonej abstrakcji, w poezji jego pojawiają się czyste barwy i obrazy Skłonność do hiperbolizacji zbliża go do Majakowskiego i podobnie jak Majakowski wyzbył się on wszelkiej statyczności. Konkretny i bujny świat Wozniesińskiego jest całkowicie jednoznaczny, pełen za to siły witalnej, rządzącej zarówno przyrodą jak i organizującym ją człowiekiem.

I jeszcze jedno łączy go z Majakowskim: walka, którą w imię odnowy ideowej podjął z mieszczołstwem, z tym wszystkim, co z moralności mieszczołców, z ich estetyki utwierdził kult jednostki.

Znaczenie więcej poświęca on uwagi poszukiwaniom formalnym. Wiersz Wozniesińskiego, który swia domie zaczął od nawiązywania do przerwanej nici rozwojowej, wiodącej od poezji pierwszych dziesięcioleci naszego wieku, pełen był jeszcze do niedawna pogłosów czy to poezji Bloka, czy Chlebnikowa, Cwietajewej, czy też Borysa Pasternaka – są to jednak jak gdyby nie tylko wzorce, lecz powiedzialbym, ośrodki krystalizacji. Niewątpliwie jednak własna jest tonacja Wozniesińskiego, energia jego wiersza. Ustawicznie poszukuje on najwłaściwszych dla siebie rozwiązań formalnych, stale eksperymentując, stale łamiąc gotowe, skostniałe układy frazeologiczne.

Wymieniłem tu tylko przykładowo kilku poetów młodego pokolenia, których twórczość wyznacza w pewnym sensie drogi rozwoju dzisiejszej poezji rosyjskiej. Niezaprzeczalny jest fakt, że wysłała ona z dłuższym impasem, że na nowo zaczęła stanowić ważny czynnik w życiu kulturalnym kraju. Celowo nie charakteryzuję poezji najmłodszych, takich jak Gennadij Ajgi i Józef Brodzki, wybitnie utalentowanych, lecz jeszcze nie odgrzywiających czynności w życiu poetyckim, choć już wprowadzających do poezji rosyjskiej nowe tony, dalej rozszerzających zakres poetyckiego widzenia.

Trudno jeszcze zdać sobie sprawę, jak się skryształizuje nowa poezja rosyjska, która rodzi się na naszych oczach. Niewątpliwie jest jednak, że cechuje ją dążenie do szczerości wyrazu, silne zaangażowanie osobiste twórcy, niechęć do jakiegokolwiek szablonów i formuł – a przecież to są właśnie elementy, które gwarantują naturalny i żywy rozwój każdej poezji.

Takie czy inne wahnięcia w tym rozwoju nie przesądzą jego organiczności, bowiem zgodny on jest z odnową moralną, z pogłębiającą się postawą ideową społeczeństwa, a także z coraz wyższym poziomem potrzeb estetycznych czytelnika rosyjskiego.

POLONICA

WĘGIERSKA KSIĄŻKA O SZOPENIE

W Budapeszcie ukazała się powieść Tibora Barabasa pt. „Chopin”. Jest to, przeznaczona dla młodzieży, barwna opowieść o życiu i twórczości polskiego kompozytora, która – odnotujmy ten fakt z przyjemnością – spotkała się z dużym zainteresowaniem młodych czytelników na Węgrzech.

POLSKA NIEDZIELA

5 kwietnia, w wyniku porozumienia pomiędzy austriackim i polskim Radio o wymianie programów, radio wiedeńskie nadało dwie audycje oraz dodatkowy program 40-minutowy, poświęcony najnowszej muzyce polskiej. Pierwsza audycja miała charakter reportażu i dotyczyła Warszawy, jej odbudowy i życia jej mieszkańców, w drugiej nadano słuchowisko Stanisława Wygodzkiego „Koncert życzliwy”. Obydwie audycje jako bardzo udane i wyraziła życzenie, aby audycji tego rodzaju było więcej.

OPERETKA WARSZAWSKA W WIEDNIU

Prasa wiedeńska zapowiada występy Operetki Warszawskiej w Theater an der Wien w pierwszej połowie czerwca bieżącego roku. Operetka Warszawska wystąpi z utworem „Miss Polonia” (tekst Jerzy Jurandot, muzyka Marek Sarii), której prapremiera odbyła się w Warszawie w 1961 roku.

WIERSZE LECA W MIESIĘCZNIKU AUSTRIACKIM

W wychodzącym w Grazu (Austria) miesięczniku „Wort in der Zeit”, w numerze marcowym, ukazały się wiersze Stanisława Jerzego Leca z tomu „List gończy” w przekładzie Jana Oskara Tauschinskiego. Warto tu dodać, że tłumacz Tauschinski wychował się w Gdańsku, gdzie kończył polskie gimnazjum i brał udział w wojnie po stronie polskiej. Był bezpaństwowcem. Po wojnie osiedlił się w Wiedniu i przyjął obywatelstwo austriackie. Tauschinski jest także pisarzem oryginalnym, pisze prozę i wiersze.

O POTOCKIM W PARYŻU

Niedawno wydana została we Francji książka Jana Potockiego „Pamiętnik znaleziony w Saragossie”, która również u nas w kraju zyskała sobie wielu czytelników. Obecnie Edouard Krakowski ogłosił w Paryżu monografię poświęconą temu pisarzowi z XVIII wieku. Jak widać i starzy pisarze mogą liczyć na renesans.

Kobieta w świecie mężczyzn

Platon, tworząc swoją teorię państwa nie widział w idealnym rządzie miejsca dla pań. I tak zresztą okazał się u niego wiele łaskawości, skoro np. poetów w ogóle polecał z miasta usunąć... W dziewiątym wieku nie było jeszcze dokładnie zdecydowane czy niewiastę zaliczyć można do „ludzi”, zaś wątpiący w to powoływali się na stanowisko Arystotelesa. Tymczasem dzie się zaledwie wieków później zaczęły dopominać się o prawa do władzy na równi z mężczyznami.

Te energiczne kobiety nazywano „sufrażystkami”. Zanim się zastanowimy, co też to sufrażystki najlepsze narobiły, przyjrzyjmy się jak to „kwestia kobieca” rozpalala umysły naszych przadków przez całe lata. Właśnie mija setna rocznica sławnej dyskusji w angielskiej Izbie Lordów, kiedy to walkę kobiet o prawo głosu nazywano „niemoralnym szaleństwem”. Kobięcie wypadało – o ile, rzecz prosta, pozwalały na to warunki mate-

rialne i społeczne – spędzać czas na spacerach lub proznych herbatkach, dbać o dom, reprezentować męża przy pomocy urody i stroju, ewentualnie prowadzić elegancką działalność charytatywną. Jeżeli już musiała pracować – to tylko w zawodach uważanych powszechnie za „słowne” dla płci żeńskiej: pielęgniarce, nauczycielki, guwernantki, telefonistki, stenotypistki. W różnych czasach różnie traktowane – zawód aktorki wchodził tu także w rachubę. Jeszcze w 1882 r. prof. Clarke z

nieszczęściem, popada w konflikt z moralnością... (cytuje za „Kobieta pracująca” M. Sokolowskiej).

Była to więc walka na śmierć i życie. W 1897 r. w Anglii powstaje Narodowa Unia Kobiet Suфраżystek a w 1903 roku Społeczna i Polityczna Unia Kobiet. Sprawa toczy się właściwie o udział kobiet w rządach politycznych, o prawo głosu, ale praktycznie ma szerszy charakter. Chodzi o udział kobiety we wszystkich dziedzinach życia, do tej pory dostępnych tylko mężczyznom.

Pyrrusowe zwycięstwo

Uniwersytetu w Harvard uważał, że wyższe wykształcenie wpływa ujemnie na przebieg cyklu miesięczkowego u kobiety, jeszcze w 1875 r. znany lekarz Ames opublikował książkę, w której podkreślał niebezpieczeństwa, jakie plyną dla kobiet pragnących uprawiać zawód prawnika, lekarza, dziennikarza, zaś odezwała klinicystów z Halle w r. 1902 brzmiała: „Wydział Lekarski Uniwersytetu w Halle jako jeden z pierwszych podjął próbę przyjęcia kobiet na studia. Zakończyło się to całkowitym niepowodzeniem. Wraz z kobietami wtargnął do świata wiedzy cynizm... Emanacja kobieca staje się tu

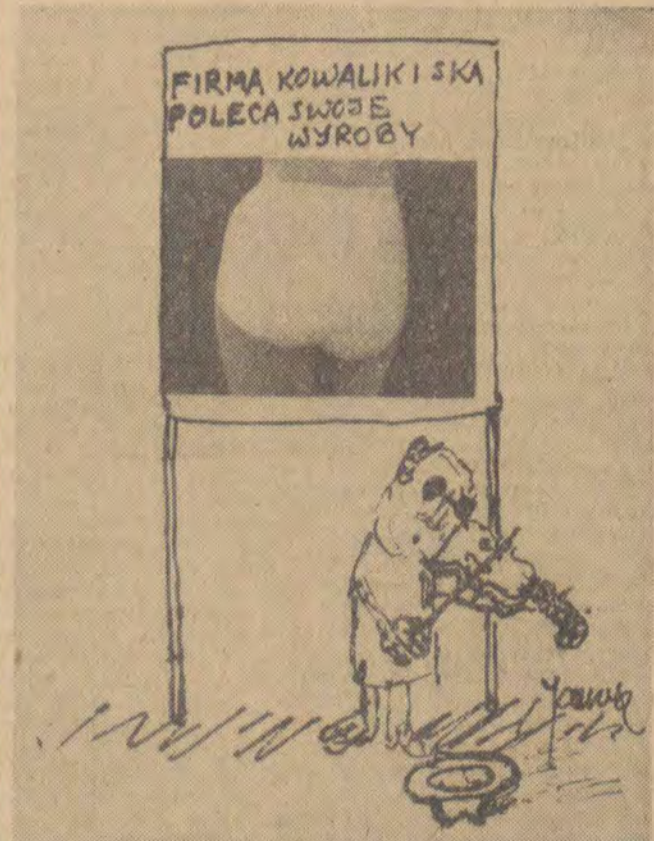
Kobiety organizują zebrania w kaplicach i na placach publicznych, w domach prywatnych i w szkołach. Na mieście pojawiają się plakaty i broszury. Pochody i wiece przeciągają ulicami. Policja interweniuje, działaczki-sufrażystki spędzają całe miesiące i lata w więzieniach. W 1912 r. rzucano toporem w premiera i palono domy. W 1913 r. podczas tradycyjnych wysłóg konnych fanatyczna sufrażystka rzuca się pod kopyta konia i ponosi śmierć na miejscu. VOTES FOR WOMEN! PRAWO GŁOSU DLA KOBIECI!

Całą sprawę rozwiązała I wojna światowa. Kiedy na

polach bitewnych Europy po raz pierwszy pojawiły się napisy: „POLEGLA W WALE” – nikt właściwie nie miał wątpliwości, że kobiety powinny brać taki sam udział w rządzeniu państwami jak i mężczyźni. W 1917 roku prawo głosu dano kobietom w Kanadzie, w 1918 w Anglii, w 1919 pierwsza kobieta zasiadła w angielskiej Izbie Gmin. Jedną z pierwszych zdobyczy Rewolucji Październikowej było przyznanie kobietom równych praw politycznych. W 1920 roku VOTES FOR WOMEN zrealizowano w USA.

Nasze wspaniałe prababki w długich do ziemi sukniach i w gorsetach, w kapeluszach zdobionych kwiatami i z parasolkami w rękach wywalczyły zwycięstwo. I – od tego momentu zaczęły się nowe kłopoty. „Słaba pleć” przestała być „słaba pleć”, praca zarobkowa kobiet stała się sama przez się zrozumiałą, obowiązki się zwiększyły a wyodni mężczyźni zaczęli powoływać się na emancypację kiedy wymagano od nich trudów bądź odpowiedzialności. A wszystko, doprawdy wszystko przez to, że kiedyś, przed laty, energiczne sufrażystki zamiast spokojnie konwersować podczas herbatki oraz spacerować po parkach – rzuciły hasło „VOTES FOR WOMEN”!

EWA



Rys. J. Wiktorowski



ANTOLOGIA

Czytelnicy prasy literackiej są zmezczeni. Czytelnicy prasy literackiej muszą co tydzień przeczytać około 96 stron druku (duży format). Około 247 artykułów, felietonów, wierszy, notatek. Około 2.497.535 znaków drukarskich. Cyfry te są fikcyjne. Nie znam nikogo, kto przeczytałby w ciągu soboty i niedzieli 2.497.535 znaków drukarskich. Mimo to, czytelnicy są zmezczeni. Dla zmezczonej czytelników zmezczonej cotygodniowym komentowaniem poważnych artykułów Boileau ułożył poniższą antologię wyimków z prasy literackiej. Wszystkie wyimki pochodzą z ostatnich numerów „Życia literackiego”, „Kultury” i „Współczesności”. Nie chcąc nikogo obrazić, nie podajemy nazwisk autorów. Autentyzność tekstów gotowi jesteśmy stwierdzić pod przysięgą.

RECENZJA

„Lassie, wróć!” – romantyczna i wzruszająca historia szkodliwego owczarka – warta jest czytania nie tylko ze względu na walory dydaktyczne. Nawet wielbiciele literatury przygodowej i awanturnej znajdują w niej dreszczyk emocji i niepokój sensacji. Lassie, najwspanialszy okaz collie, własność małego Joe, syna bezrobotnego górnikarabstwa Jork, zostaje sprzedana księciu i wywieziona przez niego do Szkocji. Psa przez nie może znieść rozstania z chłopcem i Lassie ucieka, podejmując samotną wyprawę – przeszło 400 mil – do domu. Jej dramatyczne i wzruszające przygody są treścią książki. Wzbudzą podziw i rozczewnienie, są bohaterские i prawdziwe. A więc, kochajmy psy! I nie tylko te uwiecznione na kartach powieści, ale i kundły biegające bez opieki po ulicy.

WIERSZ

„U kamienia milczenie. U milczenia kamienie. Siedzę. Patrzę dokoła. Cicho. I nikt nie woła. Żal. Smutek. I fras.”

FELIETON

„Odżyła znów działalność dąbrowieckich piłkarzy i lekkoatletów. Piłkarze brali udział w mistrzostwach B-klasy. W latach 1955-60 „Pogoń” rozegrała 104 spotkania, wygrywając 58, 9 remisując i odnosząc 37 porażek. Zorganizowano sekcję tenisa stołowego, próbowano nawet boksu i kolarstwa. Klub borykał się i zdaje się borykać do dziś z trudnościami finansowymi. Zimą 1962 roku na uroczystym zebraniu postanowiono powrócić do pierwszej nazwy „Sokół”.”

REPORTAŻ

„Weszła na salę krokiem przesadnie pewnym; o nie, to nie jest bywalczyni kamiarni. Zatrzymała się, obrzuciła poządlwym spojrzeniem stolik starszych pań. Usiadła w ich pobliżu; niby demonstracyjnie obojętna, ale cała wsluchana w to, co się tam dzieje. I pilnie uważająca, aby zamówić to samo, co tam zamówiono. Mała czarna ze śmieciaką. Ciastko drożdżowe. Siorbicie kawę. Je ciastko ręką, wysoko odginając mały palec. Rozgląda się, wierci.”

RECENZJA TELEWIZYJNA

„Dzięki transmisji z Teatru Ludowego w Warszawie widzowie mogli poznać dramat Żeromskiego „Sulkowski”. Pożyteczne to niewątpliwie, szczególnie w roku jubileuszowym.”

ESEJ

„I są one, obie te wolności właściwie tylko przejściem od jednej konieczności do drugiej. Oczywiście, jeśli świat istnieje. Jeśli natomiast odwróćmy ten stosunek, jeśli odtąd już nie nasza wolność zależy od konieczności świata, ale konieczność świata od naszej wolności, to następuje wreszcie wyzwolenie i przejście do wolności bezprzymiotnikowej. I nie egzystencjalistycznej przy tym, bo częściej możliwość istoty niż istnienia biorącej pod uwagę. Dla tego właśnie celu potrzebne było Parnickiemu zniweczenie świata.”

INFORMACJA

„Kongres amerykańskich kosmetyczek wyróżnia co roku kobiety, odznaczające się

największym urokiem. Obecnie są to: Melina Mercouri („urok osobowości”), Elizabeth Taylor („urok uwodzicielski”) i księżna Monaco („urok elegancji”).“

KORESPONDENCJE

„W 158 numerze „Współczesności” Bogusław Żurakowski zaatakował moją wypowiedź sprzed roku drukowaną na łamach tejże „Współczesności”. Wypowiedź moja zawierała kilka przemyśleń, które po roku nie są dla mnie już tak ważne jak wtedy, zatraciły tę nęcącą perspektywę, a były pewną doradczą reakcją.”

NAZWISKA

„Prowadzi tu Elizabeth Taylor, potem Doris Day, i Shirley MacLaine, a z mężczyzn: Cary Grant, Rock Hudson, Marlon Brando, Burt Lancaster, Frank Sinatra i Jack Lemmon oraz 8 reżyserów: Otto Preminger, Billy Wilder, William Wyler, George Stevens, Joseph Mankiewicz, John Huston, Blake Edward i David Lean.”

KRYTYKA LITERACKA

„Zajrzałem do bardzo rzetelnie opracowanej publikacji francuskiej, która nosi tytuł „Dictionnaire de Sexologie” i znalazłem w niej opis czterdziestu rozmaitych kompleksów mających podłoże erotyczne. Nie znalazłem jednak tego, który zdaje się trapić Jamesa Jonesa w osobie jego bohatera, szeregowca Prewitta, i wobec tego pozostaje mi tylko dla ułatwienia nazwać ów kompleks po swojemu.”

Boileau

fraszki jana Czarnego POLE BITWY Walczyli z sobą dwa banaty, na placu boju dwa trupy zostały. ANATEMA Bez kliki i bez klaki, pędź żywot byle jak!

Na przykład:

LUTOMIERSK

Działo się to tydzień temu: w ubiegły czwartek 9 kwietnia 1964 roku. Z ulicy Północnej pojechałem tramwajem nr 43 do Lutomiarska, aby w tamtejszej bibliotece wygłosić odczyt o Adolffie Dygasińskim. Coraz rzadziej i coraz niechętniej wyjeżdżam poza Łódź (no cóż, lata robią swoje, a poza tym czuję się po prostu zmęczony), ale że chodziło o Dygasińskiego, zgodziłem się bez oporów. Lubię tego pisarza. Lubię go tym więcej, im bardziej staje się on pisarzem zapomnianym. Bo ktoś dzisiaj pamięta o Dygasińskim i kto go jeszcze czyta? Chyba jedynie młodzież szkolna, która ma w lekturze „Zajęca”. Pomyślałem sobie: dobrze ci ludzie w Lutomiarsku, pamiętają, że w marcu minęła 125 rocznica urodzin autora „Godów życia”, chcą go przypomnieć czytającej publiczności, chwala im za to. Dzień był chmurny i dżdżysty, w tramwaju zimno, ale zbożny cel podróży dodaje ciepła i otuchy.

Przyjechałem, odnalazłem bibliotekę, przedstawiłem się i powiedziałem, co mnie tutaj sprowadza. Bibliotekarka (osoba miła i sympatyczna) zrobiła wielkie oczy: „Przebieżcież to ma się odbyć pojutrze w sobotę!” Ponieważ chciałem się napić w miejscowej gospodzie herbaty, powiedziałem: „Proszę pani, niech pani sprawdzi, czy istotnie nastąpiła pomyłka, przyjdę za kwadrans.” Aż się sam sobie zdziwiłem, że zareagowałem na to wszystko z takim spokojem, bez gniewu i irytacji. Wróciłem po kwadransie. Bibliotekarka sumiście się: „Proszę pana, zdarzyło mi się po raz pierwszy, że tak poplątałem terminy. Ma pan rację, spotkanie jest dzisiaj, a mnie się zdawało, że dzwiałego dopiero w sobotę”. Proponuję odwołać tę imprezę, dziury w niebie nie będzie, ostatecznie wszystko może się przydarzyć”. A nie, nie –

mówi bibliotekarka – niech pan tu chwilę poczeka, pójdę do świetlicy i sprowadzę młodzież, która ma tam zajęcia plastyczne. Ubrała się i poszła, a ja zostałem. Chodzę po ciastym pokoiku z książkami, za ścianą w czytelni gra radio na wprost drzwi, a obok nich afisz „Nowości książkowe”, gdzie na pierwszym miejscu „Romans królewski” Władysława Rymkiewicza. Ładne nowości! „Romans królewski” ukazał się przed kilkoma laty. Ale niech tam, myślę sobie, i chodzę dalej po izdebce. Po pół godzinie zaczynają pojawiać się pierwsi młodzieńcy: zaczynają modnie z grzywką nad czolem, bez czapek. Kręca się, rozmawiają między sobą, któryś z nich pyta wydającego książki za konturem: czy mógłby dostać „Listy do mojego chłopca” Leja? Nie Leja, lecz Leji, Magdy Leji. Wszystko jedno. Przychodzi i dziewczęta, ale zaraz znowu wychodzą, za nimi wysuwają się po jednemu chłopcy. Na dworze ciemno, choć oko wykol, zimno, deszcz czyk popaduje, ale w małych miasteczkach zupełnie tak samo jak na wsi: ludzie stoją pod ścianami, na drodze, lecz z wejściem do sali każdy się ociaga. Bibliotekarka robi, co może, wychodzi, nawołuje, prosi, zachęca. Wreszcie z goździnnym opóźnieniem zaczynają. Nikt mnie nie przedstawia, nikt nie mówi, o czym ma tu być mowa. Mam przed sobą trochę młodzieży, parę osób dorosłych i dzieci. Zarzuje, że nie umiem śpiewać i nie potrafię pokazywać jakichś magicznych sztuczek. To by na pewno „chwyciło”. Mówię jak umiem najlepiej. Prosto, tu i ówdzie wtykam anegdoty, opowiadam fabule „Na złamanie karku” (powieść o emigracji zarobkowej do Brazylii), wysilam się, by rzecz o Dygasińskim była ciekawa. Dzieci siedzące koło pieca wiercą się, stąpi niby uważają, ale jakby z grzesnością, ten i ów z młodzieńców sięga po gazetę, ktoś patrzy na zegarek. (Ten z zegarkiem to zapewne nauczyciel, myślę).

Skończyłem i zachęcam do dyskusji. A tu młodzież jak nie runie prosto w drzwi, pchają się na wypródkę. Ba! li się, widac, że zaczęli ich egzaminować. Wreszcie ten z zegarkiem (ciagle myślę, że to nauczyciel) pyta: „Proszę pana, ja się chciałem dowiedzieć, jak się pan nazywa?” Nie, to nie nauczyciel, ale uratował honor sali, będzie

przynajmniej dyskusja. Krótka, bo krótka, ale zawsze lepsze to, niż nic. Niedobitki, które nie zdążyły w porę uciec z sali, siedzą i wyczekują, kiedy sobie pójdę. Rozumiem ich. Chcą włączyć radio, słuchać piosenek Presleya, chcą popatrzeć w okienko telewizora.

Maż bibliotekarki (ten rzeczywiście jest nauczycielem) odprowadza mnie do tramwaju. Deszczyk ślapi, błoto, światła tyle co u kota w ślepiach. W rynku, skąd odechodzi tramwaj, trochę młodzieży. Stoją pod ścianą gospody, nudzą się, od czasu do czasu ktoś rzuci jakiś słowo. Nauczyciel, człowiek światły, czuje, że sytuacja jest pożałowania godna, ale nie na ten temat nie mówi. Jestem mu wdzięczny za to. Co tu mówić! W tramwaju myślę wciąż o wieczorze. Nic ma wątpliwości: słuchali tej pogawędki o Dygasińskim tak jakbym mówił o gramatyce języka chińskiego. Nic ich to a nie nie obchodziło. Z wyjątkiem paru osób, nikt nigdy o Dygasińskim nie słyszał. Komu przyszło na myśl, żeby właśnie tu mówić o tym pisarzu?

Lutomiarsk leży prawie w zasięgu wielkiej Łodzi, a wydaje się, że jest to daleki od świata, zabity deskami zakątek. Po prostu chce się plakać. Nie dlatego, że nie udało się odczyt literacki. Ale dlatego, że tak szaro, nudno i beznadziejnie. Po godzinie piątej nie można w gospodzie dostać nie gorącego, nawet herbaty. Jedynie wódę i zagrychę (i to byle jaką!). Wieczorami egipskie ciemności, kałuże, w które wpadają jak w pułapki. Doły w ulicy, wyrwy w chodniku, odrapane domy, czy tu doprawdy nikt o nic nie dba, nikogo nie nie obchodzi?

P. S. Nie napisałem tego felietonu, by komukolwiek do kuczył, czy też, by wyrządził krzywdę. Nie miałem i nie mam takiego zamiaru. Wydało mi się jednak, że w przededniu Dni Oświaty, Książki i Prasy, kiedy imprezy posypią się jak z rogu obfitości, warto zastanowić się nad tym, co i gdzie organizować. Nie dla statystyki i nie dla odjakowana, lecz tam jedynie, gdzie tego naprawdę potrzebują.

Jankoprowski

Redaguje Zespół – Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” – Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 98. Tel. 344-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 5 zł kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” – z zaznaczeniem: na „Odgięty”. Druk: RSW „Prasa” – Łódź, Zwirki 17. Zam. 1175. IV. 64. F-4

Notatnik kulturalny

6. IV. – 12. IV. PONIEDZIAŁEK

Podaliśmy w ubiegłym ty „niu, że na westernie „Gwiazda szeryfa” notuje się 98 proc. frekwencji. Aby nieco ową frekwencję podwyższyć posiedzieliem sobie do „Polonii” i poprosiłem w kasie o bilet na ten niepanoramiczny, czarno-biały, półtoragodzinny film. Bilet ów nabyłem płacąc 5 zł więcej niż jest to praktykowane w wypadkach filmów jednorodnych i niepanoramicznych. Dlaczego? – zapytałem. – Bo film atrakcyjny, proszę pana – odpowiedziano. Nie chodzi mi tutaj o pięć złotych, ale o jakąś stałość kryteriów. Jeśli na film atrakcyjny MZK zarządza extra dopłatę, to mamy wszelak prawo żądać, aby bilety na film nieatrakcyjny były odpowiednio tańsze. Takiego wypadku jednak nie przypominam sobie i dlatego owa kupiecicka chwiej-

ność kryteriów nieco mnie zirytowała.

WTOREK

Pisano już o tym wiele razy. Najlepszą okazją do obejrzenia najnowszych osiągnięć filmu dokumentalnego jest pokaz prasowy. Potem film znika, otrzymuje nawet zagraniczne i krajowe nagrody, ale na normalnych ekranach, normalnych kin jest trudno uchwycić. Na takim właśnie pokazie udostępniłem dziś dziennikarzom spory zestaw produkcjijny WFO. Filmmów było sporo, nie sposób wymienić wszystkie choćby z tytułów, trochę kreciło się w głowie po tej końskiej dawce. Zapamiętałem dwa – najlepszy i najgorszy. „Dziękuję” – film o ambiencjach socjologicznych, stałnawicy biografie ludzi wyrastających na wielkiej budowie, pełen pasji i zaangażowania. Drugi mó-

wił o białowieskich żubrzech, pokazywał je z profilu i en face – żubr stary, żubr młody, żubr zamysłony i żubr dostojny. Po obejrzeniu tego filmu może wzrosnąć w kraju zapotrzebowanie na „Żubrowkę”.

SRODA

Często narzekamy, że brak w księgarniach niektórych książek, że nakłady małe, że, że, że... Wpadła mi dziś do ręki publikacja o dziwnej nazwie „Dysponenda” Państwowego Instytutu Wydawniczego. Mówiąc językiem prostym jest to spis wydawnictw PIW, jakimi Dom Książki dysponuje. Czy rzeczywistość? W „Dysponendzie” znalazłem „Szkice literackie” Stawara, „Kroniki tygodniowe” Słonimskiego, „Twoje” Gombrowicza i wiele innych „jakomych” pozycji. Zadzwońtem do kilku księgarń i co się okazało. Nie mają. Ale to nie wszystko. „Dysponenda” wydana jest w nakładzie przeciętnego toniku poezji i na papierze o jakimś marzy każdy autor. Myślę jednak, że wszystko jest w porządku, „Dysponenda”

może być uznana za pełnowartościowy utwór literacki – zawiera wszak poważne elementy fikcji.

CZWARTEK

Nie wiem dokładnie ilu członków liczy Łódzki Oddział Stowarzyszenia Dzieńnikarzy, ale na spotkaniu z tow. tow. M. Tatarówną-Majkowską, H. Rejniakiem i przewodniczącym Prezydium RN m. Łódź E. Kaźmierczakiem – był chyba wszyscy. W ciągu kilku godzin rozmów i dyskusji „przewalkowano” problemy międzynarodowe, krajowe, i oczywiście łódzkie. Te ostatnie także bardzo ciekawe, choć nie brakuje wśród nich elementów żaleno-humorystycznych. Jednym z dziennikarzy „Głosu” podał np. jak to w miarę rozwoju się zakładały stronnictwach w naszym mieście rośnie deficyt łódzkiej gastronomii. W 1962 r. wyniósł on 2 miliony złotych (25 lokali), obecnie wynosi 3 miliony. Istnieje bowiem już 30 lokali gastronomicznych. Strach pomyśleć, co będzie dalej. Chociaż sądzę, że podobne jak dziś spotkanie sygnalizują

ce sprawy do załatwienia” pomogą w poważnym stopniu w wymazywaniu z naszej łódzkiej hipotezki paradoksalnych sum i problemów.

PIĄTEK

Pojechałem do Drezna. Nie na handel, nie po zakupy „Ruhla”, nie po koszułę „Non tron”, ale do Galerii Drezdeńskiej. Ośmioro członków Stowarzyszenia Historyków Sztuki – „wodników” z Muzeum Sztuki pojechało w wojaz naukowy. Rzecz właściwie normalna i może nie warta wzmianki! Niezupełnie. Nikt dotychczas takich wyjazdów dia „wodników” muzeum nie organizował i niestety, wyjazd, o którym piszę, też był tylko prywatną inicjatywą zainteresowanych. Trzy dni podnoszenia kwalifikacji i oczywiście – przyjemności, kosztowały znacznych historyków sztuki równowartość ich miesięcznych pensji. Nie kotrzystali z pensji. Miało pomóc Ministerstwo Kultury i Sztuki – pomogło Biuro Podróżny „Tak to nas, podróżnych

ludzi, rzeczywistość ze snu budzi”.

SOBOTA

Nie pierwszy to raz zwiłdła mnie telewizja. Obejrzałem sobie kabaret piosenek w kawiarni „Pod Papugami”. I rzeczywiście. Zbyt wiele było tutaj papug. Działo się woda po Karin Stank czy Sławia Przybylskiej, trochę płaskiego wygłupu, naturalnie głosi, nie większe warunki zewnętrzne, które przecież dla piosenkarzy są dosyć ważne. Zdziwiałem się, kiedy oświadczono, że występujący piosenkarze to przyszła kadra narodowa, kształcona obecnie w Studium PAGARTU. To przecież lepsze głosy znaleźć można na każdym „Spotkaniu z piosenką”. Nawiasem mówiąc odbyło się dziś w Łodzi 158 „Spotkań”. Zakładając, że na jednym koncercie występuje pięćdziesiąt amatorów – da nam to blisko 800 potencjalnych „piosenkarzy” i piosenkarce. A papugi? Warszawa „Papugi”? No cóż, wśród tego ptactwa zdarzają się tzw. nierozłączki. Nie mogą być bez partnera – w tym

wymadku bez pierwowzoru Przybylskiej, Santor, Woźniakowskiego.

NIEDZIELA

Tę książkę brałem do ręki z obawą. Nazwało: Bohdan Drozdowski – mienie nazwisko. Tytuł: „Mianewt: ucieczka w słoność” – znakomity tytuł. Ale napisana powieść po miasteczku pobycie w jednostce wojskowej? Po przeczytaniu – jak się zwierzył autor – paru tomów podreczników i regulaminów? Lotnictwo to ten! natomający, to temat samorząd, ale lotnictwo bojowe, w walce, w zerzeniu z nieprzyjacielem. Lotnictwo wojskowe w czasie pokoju? – to mogło budzić obawy, że rzecz nie wyjdzie. Ale wyszła. Książeczkę Drozdowskiego czytałem w napięciu. Nie wiem co o tej nowej powieści napiszą krytycy, ale myślę, że autor ujął byka za roggi, czy raczej temat za stery. Za stery odrzutowego „Miga”, który jest bydlęcym diabłem niebezpiecznym także w czasie pokoju.

J. W.

Leon Gomolicki FUSCULANUM

Dalszy ciąg ze str. 1

Jest idenasycony, wymagający, żądający coraz to nowego wysiłku. Nie daje chwili wytchnienia. Aby nie wypaść z rachuby, nie znaleźć się poza polem widzenia, nie ustąpić innym, nowym jego ofiarom — trzeba się wyteżać, szarpać, uopać, wyczerpać. Jest pod tym względem nieudzięk. Do mnie przemawia słowami Wandy:

— Wystaralam się o nowe zamówienie, musisz o sobie przypominać, przesłaniesz się liczyć, X nie wymienił ciebie w ostatnim artykule, widzialesz?

Ma rację: tyle wysiłku, którego po prostu nie zauważono, który zlekceważono! Dlaczego? Co za tym się kryje? Pracowitość ma tu znaczenie znikome. Muszę jednak — Wanda ma słusność — wykazywać się, stać się wyjątkiem, stać się czymś nowym, jakoś istnieć, ruszać się, jeśli nie chce, by mnie znumifikowano za życia, zepchnięto z szachownicy.

Zamykam się więc w swojej pracowni, odizolowany od świata, którego uwaga żyje i dobrze, że nie muszę gwałcić wyobraźni (co byłoby mordercze). Bo dopiero wtedy zapominam o wszystkim prócz pracy. Nawet chaos, który piętrzy się obok, pod tym samym dachem, niezdolny jest mi przeszkodzić.

Jednak wiem o nim — o chaosie, czuję go, jak wiezień czuje za drzwiami celi ruchy swoich dozorców.

5

Cieszyliśmy się z naszej samotności. Ale byliśmy sami krótko.

Pierwszy zjawił się Brutus. Otworzył nosem przymknięte drzwi werandy, sapiał szumnie, wciągnął powietrze i położył się na wódrach. Wtedy był tu warsztat stolarsko-szkłarski, z miasteczka przyjeżdżał na rowerze Szpak, przywozić z sobą mieszany zapach czosnku i poltury. Mieszkał w jednym pokoju, a całe zaplecze wyglądało jak rupecielarnia po zombardowaniu. Wódr wódrów i kitu, która były nasieknięte tamte dni, a zwłaszcza noce, przypominała mi coś bardzo ważnego, zasadniczego, nie do końca jeszcze wyklarowanego. Spółem wprost na wódrach, odstąpiwszy jedynie łóżko Wandzie z Ewunią. Tym razem i moje wódr zostały zajęte — powitało mnie warchzenie Brutusa.

Dlaczego Brutus? Właśnie dlatego, bo powiedziałem mu wtedy:

— I ty, Brutusie!
Był śmieszny, wlochatym kundlem, z kawałkiem lajna przyschniętym do ogona. Nikt nie przypuszczał, że wyróżnie z niewo takie obczymie, infantylnie naiwne ciele. Po tem przeróż! Ewunie, która ułarżmilla go jak konia i jeździła na nim po ogrodzie.
Brutus szceka operowym basem, lecz rzadko, i do wszystkich się lasł. Dopiero Andrzej woadł na pomysł, aby wywieść no furtce tabliczke: uwaga — zły pies.

6

Joanna. Ona też zjawiła się sama. Wszyscy zjawieli się niespodziewanie i sami.

Pisałem, Wanda weszła i stanęła nade mną:

— Myśle, niech zostanie.
Nie przerwałem pisania, ale zastanowiłem się podświadomie: jeśli Wanda przychodzi pod pretekstem ukrytej rady, coś w tym jest, bo zwykle decyduje o wszystkim sama, a każda moja uwaga drażni ją. Włec pisałem nie odrywając się. Wtedy właśnie powiedziała odróżnionym tonem:

— A ty wiesz, kto ma zostać?
— Nie, ale jakie to ma znaczenie.
— Oczywiście, jak zawsze: nie go nie obchodzi, wszystko zrzuca na mnie. Idź zaraz i zobacz sam!

Nie było rady — musiałem przerwać i iść do kuchni, gdzie istotnie — zobaczyłem m. Dziewczynka. Nogi gołe, brudne, aż fio-

letowe. Sukienka za długa, podarta, z odprutymi rękawami. Włosy zmierzwiłone, Rude. W twarzy wystrzonej jak u ptaka — strach, Też płasi, prawie poploch. Jadła leczywie z talerza pozostała po naszym obiedzie, odgrzaną zupę.

— Nie umie trzymać łyżki — demonstrowała Wanda. — Nie umie się odezwać, nie umie czy nie chce zic o sobie — powiedziec. Przyjrzyj się dobrze — fenomen. Jak się nazywasz?

Dziewczynka potrząsnęła przecząco głową.
— Muszę przecieć — to w dalszym ciągu Wanda — jakoś na ciebie wolać. Będę mówiła Joanna.

— Wanda, jak możesz — zaprotestowałem cicho. — Postępujesz jak z psem.
— Jeśli potrafisz dojść z nią do porozumienia, to proszę. Ja nie umiem. Chodziła tu od rana dookoła i bała się wejść. Ewa ją sprowadziła. Chcesz tu zostać? Nic mnie nie obchodzi, ekad przyszłaś, dlaczego. Zostaniesz, będziesz sprzątać, zmywać, no? Uszyję ci prawdziwą sukienkę, dam ci wstążkę do włosów, zostaniesz?

Potakujący — wreszcie — ruch głową.
— Rozczulejące — pamiętam ten pogardliwy zwrot Wandy na zakończenie sceny.

Teraz to już dorosła dziewczyna i zostaje dla mnie niejasne, dlaczego zainteresowania Andrzeja kierują się nie w jej stronę, lecz w stronę czterdziestoletniej prawie Wandy. Zresztą to całkiem inna sprawa.

7

Andrzej, Andrzej przyjechał z wywiadem. Kilka banalnych pytań, ale wtedy wywiad wydawał mi się czymś w rodzaju improwizowanego egzaminu.

Mój pierwszy w życiu egzamin wyglądał tak:
Straszenie się bałem. Rozkudłany wielokud doszedł do ławki szkolnej, w której siedziałem; a teraz ty! Usiadł obok, objął mnie w pól i zapytał poufnie: a powiedz, kiedy się urodził Stefan Batory? milczałem. W tysiąc pięćset trzydziestym trzecim — odpowiedział. Tę datę zapamiętałem na całe życie.

Teraz sytuacja była trochę inna: między nami niski, dziwaczny stolik, na nim dwie filiżanki z czarną kawą. Moja filiżanka przyjemnie płaszczystożółta, jego — brązowa. Kolory nie mające specjalnego znaczenia, po prostu jest modne, żeby nie były jednakowe (o co, dba oczywiście Wanda).

Egzaminujący młodzieniec (bo role pod względem wieku też się zmieniły) rozłożył na kolanach notesik w elastycznej oprawie, pstryknął długopisem. Zadzroszczę ludziom, którzy mają takie notesiki i długopisy. Mnie jakoś nigdy nie stać na luksus w drobniakach. Zadowolam się zle zatepcerowanym ołówkiem i nie zadrukowaną stroną starego maszynopisu. Chwila namysłu czy niezdędydowania, wreszcie pyta, zawieszony ostrze długopisu nad czystą kartką. Jego pytanie jest nietaktowne, nadszpedziewanie nietaktowne i nie umiem na nie odpowiedzieć. Nie to, że nie lubię ujawniać mego wieku, lecz mam zawsze trudności z jego określeniem. Kiedy, na przykład, odtwarzam w pamięci rok mego pierwszego egzaminu, wydaje mi się, że żyje wiecznie. Kiedy natomiast oceniam aktualnie moje siły, nie wykorzystane jeszcze możliwości, mam około trzydziestki no, może trzydziestki z małą nadwyżką, nie więcej. Włec milcze. Wyręcza egzaminujący, taksując wzrokiem:

— Powiedzmy, należy pan do pokolenia średniego.

Przezywam, że to określenie zostanie przyklepione do mnie klejem uniwersalnym, niezniszczalnym, różnie się z moim nazwiskiem. Ale zastanawiam się chwile i nie zaprzeczam. Nic mi to na razie nie przeszkadza.

8

Pytanie drugie: co miałby pan ochotę o sobie powiedzieć?

Nieraz mi to bez czyjejkolwiek pomocy już przychodziło: jątrzące wystawiające na próbę coś wart? — połączone z pokusą stwierdzenia: mówiąc prawdę, nie umiem malować, nie umiem pisać i jeśli to od czasu do czasu robiłem, to dlatego, że ktoś we mnie i przede mną to robił, potem się rozluźnia i wiedzy kompletnie nie. Właśnie jest okazja do tego zwierzenia, ale rozumiem, że przecieć i on, i ja gramy, nieco improwizując, gotowe role, więc odpowiadam:

— Powiedzieć? O sobie? Nie szczególnie lub dużo. Tylko, że to dużo usiłuję cały czas powiedzieć, o, w tym, co tu pan widzi. Inaczej jakoś nie potrafię.

— Nie szkodzi — krótkie, ale wszystko obejmujące spojrzenie, rozumiem, że na inne nie ma czasu — Jest pan zwolennikiem sztuki figuralnywej. I tematy, widzę, tematy! Określiły: należy pan do sensybilistów uczulonych na spekulację, właściwie — do refleksyjnych sensybilistów.

Spojrzałem przez jego ramie; pająkowane litery, które łączył ostrzem swego długopisu w ponumerowane strzępy wyrazów: figurat., konstr., sensyb.

— Proszę jeszcze zanotować — wtręciła Wanda — że mąż wstaje bardzo wcześnie, prawie o świcie i na śniadanie je płatki.

Długopis zarejestrował: płatki (z wykrzyknikiem), ostatecznie upodobniwszy podłużną kartkę notesika do recepty lekarza. Właśnie już postawił diagnozę, teraz pozostawały same szczegóły.

— A teraz pstryknijmy pana z pedzelkiem w paluszkach, na przykład, do tekstu: ostatnie urodzenie, I. o. na tym stopniu. Doskonale. Kadz z poczciwą psiną. Jak? Brutus? Notuje.

9

Nazajutrz, podniósłszy głowę znad stołu, widziałem, jak przeszedł ze swoim aparatem przewiezionym przez ramię w kierunku ruin. Z niczym nie skojarzyłem. Ale dzień później spotkałem go rano w ogrodzie.

— Pana żona — powiedział — uroczą kobietą. Zaproponowała mi odpocząć tu kilka dni. Kto wie, czy nie skorzystam.

Skorzystał. Kiedy wreszcie wyjechał, odetchnąłem. Nie na długo jednak, bo wrócił. I jeszcze raz wyjechał, i znów wrócił. Potem zacząłem odbierać dla niego pocztę adresowaną na Tulany. Wtedy usłyszałem od Wandy:

— Andrzej obejmie u nas pewne funkcje — (zaczęła mówić językiem). — Tu zawsze był brak męskiej ręki, ty nie masz na nic czasu.

Wkrótce zjawiła się na furtce ta właśnie tabliczka: zły pies. Nad werandą napis: wejście nie ma i strzałka, potem za rogiem jeszcze strzałka i jeszcze, aż do drzwi od strony kuchni i na nich: wejście. Na tym inicjatywa się wyzerpała. Naśladowując, przyklepiłem karteczki do mego stołu z napisem: biurko, do krzesła z napisem: krzesło, a do szafy w pokoju szafa. Wanda potraktowała to jako złośliwe dziwactwo:

— Wstrętnie! To ma być wdzięczność! Andrzej nas żywi, dostarcza ryb. Co bym robił!

Rzeczywiście wychodził z wedką. Poza tym wylegiwał się z książkami, które przywoziłem mu z poczty. Najczęściej leżał na pleździe w ogrodzie lub na nowo sprowadzonej kozetce Wandy. Zamieszkał w pokoju za korytarzem, z oknem na drugą stronę domu.

10

Goście. Nie mieliśmy właściwie nigdy prawdziwych gości. Ale raz do Andrzeja przyjechała para. Postacie seryjne, spopularyzowane przez tygodniki. Znajome rekwizyty: on — cienkie okulary, broda, kraciasta koszula z rozpiętym kołnierzem, ona — krótkie spodnie, obcisły sweter, głowa ma nekina. Zobaczyli go w oknie i jeszcze za furtki zaczęli witać. Musiałem wyjść do nich.

Gość wyjął fajkę i ugniatając w niej specjalnym przyrządem tytoń:

— Dostąpiliśmy, słowem!
Manekin z papierosem w ustach (potem wszędzie — w spodkach, w ogrodzie, w doniczkach pełno było niedopałków porabowanych szminka):

— To bardzo sprytnie urobić sobie opinie dziwaka.

Podczas obiadu pił wódkę, która w przeddzień przydziwiałem z miasteczka według dyspozycji Wandy. Kiedy mężczyźni zaczęli skandować: strip-tease, strip-tease — wstałem i wyszedłem. Nikt nie usiłował mnie zatrzymać. Zamknąłem się w swojej latarni i próbowałem pracować. Przeszkadzało dochodzący zza drzwi śmiech, krzyki, potem chodzący dookoła domu.

Robił się zmierzch, kiedy weszła do mnie Joanna:

— Proszę pana, boję się. Mogę u pana posiedzieć?
Już położyłem się, więc usiadła na krześle, otulać się chustką.

— Siedź, Joanno. Co tam się dzieje?
Nigdy nie zapalałem w latarni światła. Leżałem, a ona siedziała na moim krześle orzy stole. Zdumiewające zaufanie. Widziałem jej skuloną sylwetkę na tle szarej szyby.

— Słyszałaś, Joanna: podobno urabiam sobie opinie dziwaka. Dla reklamy. A może ty też udajesz dziwaczkę, bo to wygodne? Nie obrażał się, to żółć. Bo nawet Brutus mnie zdradził, czuła tam na ochlany. Gdyby nie ta moja praca, wiesz, pewnego dnia nalechałbym jak zwykle rano, i nie wrócił. Nawet by się nie dowiedział, gdzie jestem. Jak myślisz, te drzwi zrobiłem ja sam, jak myślisz, czy mógłbym pracować jako stolarz?

Powiedziałem sam, ale w tym było trochę przesady, bo pod kierownictwem mistrza Szpaka. Ale jednak w jakimś stopniu i sam!

11

Przypuszczam — to oczywiście nie pewnego, tylko wewnętrzne przekonanie — że właśnie tamtej nocy między nimi, tj. między Andrzejem i Wandą, doszło do ostatecznego porozumienia. Ten bufon musi mieć w sobie coś. Nawet Ewunia, która zawsze mnie ignorowała, ciągnie do niego.

WIKTOR WOROSZYLSKI

EROICA

Ala tylko tam gdzie poezja ciągle jest heroizmem

rozmywana przez ranny przyływ

na krzyżu rozpinana w południe

rozrzucona nocą popiołem

tylko tam

Może nie ma już nigdzie takiego kraju

wszędzie w łagodnym blasku tolerancji kunsztowni paralitycy strzygą wycinanki dyskutują o słowach ładnych i brzydkich czy ktoś powiedział WSTAN zdawało ci się

i rosna im brzuchy pełne ach poetyckiej wzniosłości

może nigdzie i z tej przyczyny

Ala jeśli gdziekolwiek

Ona rodzi się w odosobnieniu zamknięcia pod skorupą codziennej obrzydliwości

jak dżdżownica porusza się przysypiana balasami mrokami strachem

dżdżownica której odrabują odwłok a jej wyrastają skrzydła

dżdżownica marzeń nie zdradzonych

tylko tam

Tego nikt nie słyszy prócz paru najbliższych którzy są być może buchalterami braćmi karcierzami przyjaciółkami stróżami nocnymi kimkolwiek

ale nade wszystko są spiskowcami poezji trawionymi gorączką i głodem gotowymi zapłacić sobą za słowo

za poruszenie dżdżownicy

Tylko tam rozlega się głośnie WSTAN i bezwładny odrzuca kule

ZE SNU

Przecież byłem tam w głębi przecież byłem tym co było tam co było tym przecież byłem przecież z tym przecież w tym w głębi w całym to było moim byciem moim mną moja głębia w której to było

jak to się stało

jak to się stało

POCHWAŁA POEZJI NIESENTYMENTALNEJ

To też dobry poeta zebrał taką sałę takie cudne lalunie w jego zgrzyt wsluchane

A on ich nie rozbiera ciepłych ufających z laszków różowych

staników majtasów

Nie chwyta za kolanko serduszek cucuszek nie rozbiera

Obiera z ciała ponętnego

Z miękkości różowości ciepła aromatu do błędnego piszczenia do czarnego szpiku

Do milezących komórek co ostatniej krwinki do zawiasów piskliwych do drucianej osi

Obrane obracają szyje których nie ma o luby okrutniku o słodki skalpeli

Rozehylają kolana i wilgotne wargi składają do okłasku łożnie których nie ma.

